Nr. 15. Warszawa, dnia 14 (2) Kwietnia 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

MONOPOL ZBOŻOWY.

Zawrzało w prasie niemieckiej — najniespodziewaniej. W ostatnich dniach poczta była tak jałową, że zpośród wiadomości politycznych niepodobna było wyłuskać najmniejszego ziarna, prócz oddawna pokutujących, to obumierających, to znowu wskrzeszanych plotek o wzajemnym stosunku Capriviego do Miquela i dociekań, czy minister finansów pruskich wysadzi kanclerza z jego stanowiska. Tymczasem nagle w dziennikach zgoła inny widok przedstawił się naszym oczom. Wszędzie na pierwszej stronicy znaleźliśmy ten sam nagłówek: monopol zbożowy. Rozumie się, stanowisko pojedynczych organów jest bardzo odmienne. Gazety liberalne i wogóle broniące interesów ludności miejskiej, złorzeczą junkrom na czem świat stoi i błotem obryzgują sobkostwo ziemian niemieckich, zachowawczo-rolne nie posiadają znowu słów na wypowiedzenie swojej radości. Ale bądź co bądź, zainteresowanie jest powszechnem. Widocznie monopol zbożowy należy do tych kwestyj, które niezwykle przykuwają do siebie uwagę publiczną.

Przyjrzyjmy się zatem nieco zblizka pobudce tego rozgorączkowania.

Niemiecka partya ziemiańska za pośrednictwem jednego z najwybitniejszych swoich przedstawicieli w sejmie niemieckim, hr. Kanitza, wniosła do parlamentu projekt monopolu zbożowego i domaga się dla niego nagłości obrad. Wniosek „agrarczyków,“ pamiętajmy, zachowawców najczystszej wody, dla których nawet hasła najbardziej umiarkowanego liberalizmu zagrażają niebezpieczeństwem porządkowi społecznemu, w swojej części teoretycznej dopomina się, ażeby zniesiono prywatne prawo czynienia zakupów zboża i wogóle wszelkiego ziarna, wreszcie produktów przemysłu młynarskiego, u zagranicy; w ciągu zaś dalszym dąży on do tego, ażeby tę sprawę wzięło na swoje barki państwo. Przechodząc zaś do uregulowania samej sprzedaży w ten sposób napływającego do kraju zboża, projekt hr. Kanitza i towarzyszów domaga się ustanowienia przez sejm minimalnej taksy dla ziarna, wydawanego ze śpichlerzy państwowych. Ten ustęp wniosku głosi, że najniższą granicą dla tonny pszenicy winna być cena 215 marek, dla tonny żyta 165 itd. Cyfr nie wymieniamy, poprzestaniemy jedynie na wzmiance, że podobnemu losowi uledz ma jęczmień, owies, reśliny strączkowe, łubin, kukurydza, nawet słód, wreszcie różne produkty młynarskie. A zatem lista jest bardzo obszerna.

Tak brzmi sam wniosek. Zobaczmy teraz, co pod nim się ukrywa. Jeżeli porównamy bieżące ceny różnych gatunków zboża, takie, jakie zostały zanotowane na rynku berlińskim w ubiegłym tygodniu, okaże się, że minimalna taksa, postawiona przez partyę ziemiańską w sejmie, jest w każdej swojej rubryce wyższą o 30 do 50% w porównaniu z kursami berlińskimi. Weźmy pszenicę. W końcu ubiegłego tygodnia giełda berlińska notowała dla tonny tego zboża kurs 143 marek; cena tej miary średnio w ciągu całego dziesięciolecia 1883—1892 wynosiła 178 marek. Dość rzucić okiem na te cyfry i porównać je z żądaniem ziemian, ażeby pojąć odrazu dążności junkrów. Pamiętajmy, że obecne cło, opłacane przy wejściu naszego ziarna w granice Rzeszy niemieckiej, wynosi od tonny zaledwie 35 marek; a więc dlatego, ażeby za pomocą ceł można było osiągnąć ten sam skutek, jakiego szlachta niemiecka chce dopiąć za pośrednictwem monopolu zbożowego, trzeba byłoby zamiast powyższego haraczu pogranicznego opłacać za tonnę daniny celnej aż 107 marek! Zresztą, mówiąc „ten sam skutek,“ popełniamy błąd, gdyż nie wzięliśmy pod rozbiór jednego nader ważnego czynnika. Cła, nawet najwyższe, nie znoszą konkurencyi zagranicznej. Inaczej działoby się, gdyby ustanowiony został monopol zbożowy w formie żądanej przez junkrów. Naówczas wszelkie współzawodnictwo, nadchodzące z obczyzny, zostałoby wstrzymane. A ponieważ w dzisiejszym stanie rzeczy Niemcy w żaden sposób nie mogą plonami ze swoich pól uczynić zadość potrzebom spożywców krajowych, przeto urzeczywistnienie projektu, o którym mówimy, pozwoliłoby ziemianom wyszrubować ceny zboża do niesłychanego poziomu. Byłoby to niejako opodatkowaniem całego społeczeństwa na rzecz kieszeni junkierskiej. Słuszną czyni uwagę *Börsen Courier*: „Jaśnie wielmożni zapomnieli o jednem, mianowicie, że w obecnej epoce poglądy uległy radykalnej zmianie, że reszta współrodaków najmniejszej nie czuje chęci przyznania posiadłości ziemskiej, chociażby najbardziej odłużonej, prawa do pobierania haraczu z kieszeni żywiołów miejskich.“

O losach projektu hr. Kanitza zbytecznem byłoby rozprawiać. Jeżeli ziemianie nie posiadali dostatecznej siły, ażeby przeszkodzić rządowi w obniżce cła na zboże, tem bardziej przepadną ze swoim wnioskiem, który w innej i wzmocnionej postaci czyni to samo. Zresztą i oni sami nie łudzą się, że prócz krzyku nie zbiorą innego plonu. Wnieśli zaś sprawę monopolu zbożowego dla innych pobudek — wprost jako środek agitacyjny celem rozpowszechnienia przeciwko rządowi opozycyi wśród zamożnego włościaństwa. Hasło to oddawna już kołatało się w łamach dzienników ziemiańskich, ale junkrom brakło odwagi czy też potrzeby do wystąpienia z nim w niemieckiem ciele prawodawczem. Zrozpaczeni uczynili to dzisiaj.

Jeszcze słów kilka o znaczeniu wniosku. Niektórzy chcą w nim widzieć wskrzeszenie tradycyj feodalizmu, kiedy każde mia-

sto posiadało prawa, bardzo pokrewne proponowanemu monopolowi przez junkrów niemieckich. Ale jakkolwiek jesteśmy niechętnie usposobieni dla dziecka hr. Kanitza, przynajmniej dla celów przezeń zamierzonych, winniśmy jednak odeprzeć ów zarzut. Monopol zbożowy dzisiejszy tak mało ma wspólnego z dawnemi formami municypalnego handlu, jak tegoczesne *trusty* i *kartele* z cechami średniowiecznymi. Rozporządzenia municypalne i monopole przeszłowieckowe zbożówek *accapareurs* ukazały się w następstwie decentralizacyi kraju i niemożliwości natychmiastowego zakupu zboża, miały przeciwdziałać grożącemu niedoborowi. Z chwilą tą, kiedy środki komunikacyjne usunęły niebezpieczeństwo głodów lokalnych, runęły, powszechnie znienawidzone. Tymczasem nowoczesny monopol jest płodem rozwiniętej centralizacyi, podobnie jak taryfy kolejowe — podobnego objawu w zakresie dróg. Agrarczycy przegrywają sprawę nie dlatego, że wnoszą monopol, ale ponieważ chcą za jej pomocą wyzyskiwać społeczeństwo.

Ż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Król Humbert niewątpliwie w interesach włoskich wyczytał wskazówkę, że po widzeniu się z cesarzem niemieckim w Wenecyi powinien złagodzić wrażenie tego spotkania we Francyi. Jest więcej, niż prawdopodobnem, że zwierzył się z tym zamiarem swemu sojusznikowi i że ten nie zaprotestował. Tak zwane „interviewy,“ tj. rozmowy dziennikarzów ze znakomitemi osobami w ostatnich czasach wciągnęły w swój krąg monarchów, dotychczas jednak ci ostatni, o ile zajmują wysokie stanowiska polityczne, poddają się tym badaniom niechętnie i wyjątkowo. Naprzód, nie licują one z ich usposobieniem i zasadami, powtóre narażają często na nieprzyjemne następstwa. Reporter nie zawsze powtórzy ściśle to, co usłyszy; czasem z umysłu doklamie dla efektu, a ponieważ jego sprawozdanie jest roztelegrafowywane na wszystkie strony świata, trzeba więc je potem uzupełniać, prostować, zbijać, prowadzić polemikę, która wcale nie należy do przyjemności. Jeżeli tedy król włoski zgodził się na rozmowę z korespondentem *Figara*, musiał mieć bardzo ważne powody oddziałania na opinię publiczną we Francyi. Przypuszczamy nawet, że on nie tylko przyjął owego dziennikarza, ale go sam zaprosił. I cóż mu powiedział? Przedewszystkiem oświadczył, że mu bardzo chodzi o przyjaźń z Francyą, że oba narody są połączone węzłami krwi i broni, że ten stosunek naruszyło nieporozumienie ekonomiczne i sztuczne rozdęcie drobnych sprzeczności. Przyczyniła się do tego głównie taryfa celna Meline'a (mocno protekcyjna) oraz podszczania prasy, dmuchającej ustawicznie w każdą iskrę waśni sąsiedzkiej. Owa taryfa jest zła, szkodliwa i wymierzona na szkodę Włoch. Zarzut, że one dążą do wojny, wydaje się królowi śmiesznym i bezzasadnym. Ani wola, ani rozum, ani środki materyalne nie popychają ich do tego. O wojnie myśleć może raczej Francya, bogata i posiadająca olbrzymią armię, a nie Włochy, które pragną tylko wprowadzić w swym budżecie jak największe oszczędności. Ponieważ zaś przytem skutkiem udoskonalenia broni wszelka wojna byłaby straszną, więc żaden monarcha nie wywoła jej lekkomyślnie. Przyznać trzeba, że te wynurzenia Humberta są najzupełniej słuszne i dlatego mogły być szczere.

Cesarz niemiecki obdarzył jeszcze jednym orderem Capriviego dla zaprzeczenia wieściom o bliskiej jego dymisyi. Mniej szczęścia ma przeciwnik kanclerza, minister finansów Miquel, którego projekty podatkowe nie zyskały większości w sejmie i mają być odłożone do lepszych czasów.

Bismark, najsurowszy z ministrów względem prasy, który wytoczył jej tysiące procesów za krytykę działań rządu, sam teraz do ostatniego tchnienia pracuje nad dostarczeniem dziennikom materyału do napaści na rząd. Obecnie oszczędza tylko cesarza, a wszyscy, którzy niżej stoją, są przedmiotem ciągłych ataków. Za ujście dla swego gniewu wybrał on sobie znane pismo humorystyczne *Kladdertasch*, które szykanuje systematycznie paru wysokich urzędników. Wydawca tego świstka pomieścił nawet list w jednej z gazet berlińskich, ponawiający poważnie zarzuty humorystyczne i twierdzący, że w ministeryum proszono go kilkakrotnie, ażeby zaniechał swych wycieczek. Rzecz dziwna, że mu nie wytoczono procesu.

W austryackiej Radzie państwa młodoczesi wystąpili z wielką gwałtownością przeciwko rządowi i Kołu galicyjskiemu. Gregr domagał się koronacyi cesarza na króla czeskiego i rzucił polakom obelgę, że dla tego tylko zasiadają w parlamencie, aby korzystać z tłustych kąsków. Powstała wrzawa. „Precz“! — krzyknięto z ław niemiecko-liberalnych. „My pójdziemy — odrzekli młodoczesi—ale po nas przyjdą inni, którzy żądać będą rzeczpospolitej.“ Nazajutrz prezes gabinetu oświadczył, że nie zna żadnej sprawy czeskiej w znaczeniu międzynarodowem, a Plener zażądał, ażeby Gregr cofnął swoje wczorajsze obelgi, co ten czynił.

Koło galicyjskie obrało swym prezesem F. Zaleskiego, a vice-prezesem A. Jędrzejewicza.

Gabinet Riazy w Egipcie podał się do dymisyi. Następcy jeszcze niewiadomi, ale już muszą być gotowi.

W Hiszpanii wybuchł głód i zaburzenia śród ludności.

BADANIA NAUKOWE.

ROZUM, A UCZUCIE.

Niejednemu z czytelników zdarzało się zapewnie słyszeć, a nawet czytać szumne deklamacye przeciwko rozumowi, jako władzy, która sama przez się zimna i rozkładająca wszystko na części, nie jest zdolna wznieść się do wysokości prawdy i ująć ją w całości; że dokonać tego może ona tylko przy pomocy uczucia, które prawdę poznaje bezpośrednio, nie jako martwą abstrakcyę, nie jako suche wywody, ale jako zasadę pełną życia z życiem ludzkiem jaknajściślej związaną i do przekonania wszystkich trafiającą. Ostatecznym wnioskiem tych deklamacyj jest żądanie, ażeby rozum raz przyszedł do przeświadczenia swej niemocy i ukorzył się przed uczuciem, w jego natchnieniach szukając wskazówek dla swych badań i w jego wyrokach zatwierdzenia swych rozumowań i teoryj.

NAUKI POLITYCZNE

przez

Franciszka Coppée.

Wierszokleta przeciętny, umysł powierzchowny — nie zajmuję się polityką. Zostawiam to zajęcie obywatelom, którzy nie mają nic lepszego do roboty. A takich jest podostatkiem. Każda we Francyi posiada swego męża stanu.

Tymczasem, często słyszałem, a nawet sam powtarzałem za innymi — dla szyku — że polityka jest nauką. Bardzo empiryczną, jeśli chcecie, ale ostatecznie nauką. Nawet czytałem kiedyś, ja niewtajemniczony, książkę w tym przedmiocie pisaną przez niejakiego Machiavela i podobała mi się.

Otóż pewnego dnia, idąc ulicą św. Wilhelma — mieszkam w tamtych stronach — spostrzegłem nad bramą budowy bardzo przyzwoitej napis ujęty w brzegi rokoko: Szkoła nauk politycznych.

Ucieszyłem się.

„Doskonale“ — pomyślałem. „Wiec będą wreszcie politycy uczeni, znający swoją specyalność. Bo dotychczas biorą się do niej tacy, którym wszędzie źle poszło. Zawsze te słowa Gavarniego: „Ty do niczego... Obierz zawód artysty“ — albo Gambetty: „Bądź weterynarzem.“ Co do mnie znałem tylko jednego zucha bardzo tęgiego w polityce. Gra instytucyj parlamentowych nie posiadała dla niego żadnych tajemnic i kwestyę wschodnią znał jak swoją kieszeń. Ale cóż, nie miał ubrania. Palto zawsze wyszarzałe, a na przedzie brakowało zęba, którego nigdy nie chciał wstawić, uważając to wgłębienie za wygodne do wkładania fajki. A potem chodził nocami. Pożyczał nawet niejednokrotnie dwadzieścia franków od towarzyszów, aby „popłynąć na wyspę Cyterę“ — i nigdy ich nie oddawał. Nie zakrywajmy go osłonkami: był to cygan. To też wegetował jako nieznaczny sprawozdawca w poważnym dzienniku i zmarł w szpitalu. A jednak ten człowiek nie miał równego, gdy chodziło o określenie stanowiska wobec Anglii, albo wezwanie starych partyj do obrachunku sumienia. Nasi prawodawcy nie dorosną mu do ramion. Ale, dzięki Bogu, otóż i mamy Szkołę polityczną, a z niej wyjdzie poczet ludzi młodych, wykształconych, posiadających bieliznę i wykarmionych szpikiem Pitta i Talleyranda.

Po prawej i lewej stronie bramy przyklejone afisze. Białe, oficyalne, sympatyczne.

„Popatrzmy, co tam ich uczą“ — powiedziałem, dobywając okularów.

O! program wspaniały! Dyplomatyka, prawo międzynarodowe, ekonomia społeczna, traktaty handlowe, niczego nie brak. Ile muszą się uczyć, tam wewnątrz, z książek grubych, z przypiskami u boku, uwagami na dole, tabelami! A profesorzy — to już wiecie — co można znaleść najlepszego. Dawni ministrowie, senatorowie dożywotni, członkowie Instytutu. Gdy czytałem afisze, zdawało mi się, że słyszę odźwiernego na polach Elizejskich, zapowiadającego gości w dzień przyjęcia u p. Carnota. Powtarzam po raz drugi, to było wspaniałe.

Ale, kiedy przestudyowawszy afisz, puściłem się w dalszą drogę, uczułem, że mój entuzyazm opada.

Czem zostaną wychowańcy Szkoły nauk politycznych wysłuchawszy sławnych mistrzów i nauczywszy się jak na palcach wszystkich tych pięknych rzeczy? Miłymi podprefektami, rozkosznymi pomocnikami ambasad, słodkimi słuchaczami w Radzie państwa. Będą mieli dobre miejsca, ożenią się pysznie. Bardzo dobrze. Ale czy będą przygotowani do życia publicznego? Przenigdy. Nauka w Szkole jest zbyt niezupełną i przedewszystkiem za mało praktyczną. I wierzcie mi, nie pomoże tu reforma. Potrzeba by uciec się do środków radykal-

Że tego rodzaju zapatrywania wygłaszają ludzie praktyczni, których głównem zadaniem nie jest wiedza, ale działanie — dziwić się temu nie można. W życiu zarówno codziennem, jako też publicznem główną rolę odgrywa uczucie. Ono wyłącznie dostarcza pobudek do działania; co się tyczy rozumu, to uczestnictwo jego w tym zakresie ogranicza się tylko do rozpoznania okoliczności, wśród których działanie ma być podjęte, i do obmyślenia środków, zapewniających mu jaknajwiększą skuteczność. O zagadnieniach wiedzy, nie mając należytego pojęcia, sądzą o niej że stanowiska życiowej praktyki i do jej warunków ją sprowadzają. Łatwo także zrozumieć, dla czego niektórzy poeci i powieściopisarze tak często robią wycieczki przeciwko rozumowi, przedstawiając go, jako pierwiastek ducha, paraliżujący zapał, który jest główną sprężyną wielkich czynów. Pomijamy tę okoliczność, że przemawiając do ogółu społeczeństwa, ma na oku przeważnie jego cele praktyczne — dziejowe zadanie, moralne stanowisko itd.; potrzeba pamiętać, że głównem źródłem ich natchnień jest tęsknota, jeżeli nie do świata zaziemskiego, to przynajmniej do świata, kryjącego się w łonie przyszłości — tęsknota, której za ciasno w warunkach rzeczywistości i która nie może znaleźć zaspokojenia w dostarczanych przez rozum pojęciach, ściśle określonych pod względem treści i wzajemnych stosunków. Obrazy niewyraźne, nawpół ujęte w swych kształtach i stosunkach, przedstawiające całą swobodę ich fantazyi — stanowią jedyną sferę, w której ich myśli i uczucia, spragnione ideału, mogą znaleźć odpowiedni dla siebie wyraz.

Inaczej rzecz się ma, gdy z tego rodzaju zapatrywaniami, mniej lub więcej wyraźnie wypowiedzianemi, spotykamy się w dziełach, jeżeli nie naukowych, to w każdym razie chcących za takie uchodzić, szczególnie, gdy one zabierają się do rozstrzygania zagadnień filozoficznych, gdy ich autorowie przystępują do pracy z ciężkim aparatem erudycyi, dającej do myślenia, że nie ma zakątka wiedzy, któregoby nie zwiedzili, nie ma pomysłu, któregoby krytycznie nie ocenili. W jednem z takich dzieł, a raczej dziełek, spotykamy twierdzenie, z niezachwianą stanowczością wygłoszone, że zadaniem przyszłej filozofii ma być pogodzenie wiedzy z religią, zaspokojenie rozumu i uczucia. Z zestawienia tych dwóch zadań, którym przyszła filozofia ma zadość uczynić, musimy wnieść, że podług autora istniejący między wiedzą a religią zatarg ma swą przyczynę w niezgodności rozumu i uczucia.

Ponieważ tego rodzaju zapatrywania są dość rozpowszechnione i w pewnych kołach bardzo popłatne, warto więc zastanowić się nad niemi bliżej i wykazać całą ich bezzasadność pod względem teoretycznym, a zarazem bezskuteczność pod względem praktycznym.

Przedewszystkiem musimy odpowiedzieć na pytanie: co to jest rozum, a co uczucie i jaki jest między niemi stosunek?

Najpierw wszakże, uważamy za konieczne uprzedzić, że wyrazy: rozum, uczucie, umysł, świadomość itd. nie mają dla nas znaczenia władz, będących jakiemiś całościami jednolitemi w sobie i odrębnemi, jakiemiś metafizycznymi bytami, ale są prostemi uogólnieniami, opartemi na klasyfikacyi zjawisk duchowych i pozwalającemi jednym wyrazem oznaczyć tę grupę owych zjawisk, o jaką nam w danym razie chodzi.

Przez rozum w ścisłem znaczeniu tego wyrazu pojmujemy wyższe czynności umysłowe, zwane wogóle myśleniem. Polegają one na urabianiu pojęć, sądów i wniosków na podstawie materyału, jakiego im dostarczają niższe czynności za pośrednictwem pamięci, a mianowicie: postrzeganie i wyobrażanie. Czynności umysłowe wyższe tem się tylko różnią od niższych, że są mniej zależne od wrażeń zewnętrznych. Co do swej natury, są one te same, co i czynności niższe — i ścisłej granicy między niemi niepodobna przeprowadzić. Wszystkie one polegają na tej samej zasadzie i do jednego celu dążą. Wspólnem ich zadaniem jest poznanie, które ostatecznie sprowadza się do bezpośredniego ujmowania (intuicyi) różnic i podobieństw. Charakterystyczną cechą poznania na wszystkich stopniach jego rozwoju stanowi przedmiotowość. Początkiem poznania są postrzeżenia, będące wprawdzie wytworem świadomości, ale wytworem mimowolnym i który ona uznaje za coś sobie obcego, co zewnątrz istnieje, co jest przed nią, co jest przedmiotem, do którego ona musi się przystosowywać w swem działaniu. Takiem przystosowywaniem się do postrzeżeń są wszystkie czynności umysłowe; wynikiem zaś tego przystosowywania są: pojęcia, sądy i wnioski, które dla świadomości są równoważnikami rzeczy i ich stosunków i które dla tego mają dla niej tak tamo charakter przedmiotowy, jak i postrzeżenia.

Uczuciem nazywamy stany świadomości przyjemne i przykre. Uczucie samo przez się nie jest świadome ani świata zewnętrznego, ani wewnętrznego, zostaje ono poza obrębem wszelkich stosunków. W niem świadomość ogranicza się do chwili obecnej, nie jest ona niczem więcej jak przyjemnością lub przykrością. Uświadomienie uczucia, jako pewnej zmiany, zostającej w jakimś stosunku do innych zmian, jako pewnego stanu, mającego swą przyczynę w warunkach czasu i przestrzeni, jest sprawą umysłu, którego czynności mniej lub więcej wyraźnie towarzyszą wszelkim objawom uczucia. Uczucie rozważane w oderwaniu od umysłu, jest stanem czysto podmiotowym, to znaczy, stanem, po za który świadomość nie wykracza.

Rozważmy teraz, jaki stosunek zachodzi między rozumem a uczuciem.

Głównem źródłem poznania są wrażenia zewnętrzne. Działając na narządy zmysłowe, wywołują one w świadomości zmiany, znane jako czucia zmysłowe. Każde czucie zmysłowe posiada dwie strony: przedmiotową i podmiotową. Pierwszą jest odnoszenie się czucia do świata zewnętrznego, jego stosunek do własności przedmiotu, jako do bezpośredniej swej przyczyny; stanowi ona właściwy pierwiastek poznania. Druga oznacza stosunek czucia do warunków świadomości, jako zmiany, zgodnej lub niezgodnej z jej warunkami. W warunkach normalnych umiarkowane wrażenia wywołują czucia przyjemne, zbyt silne — czucia przykre. Słowem, każdemu czuciu zmysłowemu towarzyszy zawsze uczucie. Ponieważ z czuć zmysłowych składają się postrzeżenia, rzecz więc prosta, że im towarzyszą również odpowiednie uczucia. W obu tych wypadkach uczucia są żywe. W miarę atoli, jak postrzeżenia stają się wyobrażeniami o różnym stopniu uogólnienia, towarzyszące im uczucia słabną. Słowem, czynności umysłowe stają się tem obojętniejszemi, im bardziej oddalają się od swego początku, jakim są czucia zmysłowe, im mniej zależą od zewnętrznych wrażeń. Jakoż pod tym względem panuje zupełna równoległość między objawami umysłowymi, a uczuciowymi. Objawom żywym, jakimi są czucia zmysłowe i postrzeżenia, towarzyszą i uczucia żywe; wyobrażeniom zaś i pojęciom, które są objawami słabymi, towarzyszą uczucia słabe

---

nych, otworzyć drugą szkołę, konkurencyjną, tuż naprzeciw, gdzie dostarczanoby przyszłym mężom polityki wiadomości zasadniczych.

I już wymyśliłem afisz rywalizujący.

W poniedziałek od pierwszej do trzeciej p. A... będzie wykładał (raz na tydzień): kłamstwo i zdradę.

Tegoż dnia, od trzeciej do piątej p. B. (raz na dwa tygodnie): krzywoprzysięstwo i odwoływanie obelg.

Wieczorem popularne lekcye pana C.: o równoczesnem posiadaniu kilku urzędów i o synekurach.

We wtorek od pierwszej do trzeciej pan D. wykładać będzie tygodniowo: o przedajności wyborczej.

Tego samego dnia, od trzeciej do piątej p. E., tokarz ministerstwa spraw wewnętrznych, uczyć będzie konstrukcyi nowej skrzynki, przepisanej do rzucania kartek wyborczych, z podwójnem dnem.

Wieczorem pan W.: o handlu orderami.

W środę od pierwszej do trzeciej p. G. czyta o prasie wogóle, a w szczególności o taryfie nakładanej na jej odwagę, niezależność i bezinteresowność.

Tegoż dnia od trzeciej do piątej p. A. zajmie się magistraturą i środkami zapewnienia sobie powodzenia w procesach politycznych.

Wieczorem generał I.: projekt zamachu stanu.

We czwartek, od pierwszej do trzeciej p. K. prowadzić będzie dalej swe studya finansowe nad oszustwami giełdowemi i celnemi.

...I tak dalej.

Kreślę tylko sumarycznie, w głównych zarysach plan nowej Szkoły i przedstawiam szkic ów ludziom doświadczonym, zawodowcom. Niedoskonały, widzę to, widzę luki. Naprzykład oczywistym jest brak katedry oszczerstwa.

Chciałbym głównie, wyznaję, położyć nacisk na strony praktyczne. Byłoby koniecznem, szanowni obywatele, nakreślić mapę wyborczą Francyi, bardzo szczegółową, prawie taką, jak mapy sztabu i czerwonemi kropkami zaznaczyć wszystkie szynki winne. Tak samo jak uczniowie gimnazyalni i uniwersyteccy wyjeżdżają czasami z nauczycielami na wycieczki botaniczne lub mineralogiczne, tak przyszli kandydaci z mapami puszczaliby się w podróże, aby ćwiczyć się podczas nich w sztuce podbijania nauczycieli wiejskich, zdobywania łaski szynkarzy i teroryzowania leśniczych i polowych. Dla nauczenia młodych ludzi wymowy trybuńskiej, aktor — nie profesor konserwatoryum albo artysta z Komedyi francuskiej, ale „deklamator“ z szynku na bulwarze Zbrodni — objaśniałby im naturę swoich „efektów,“ potężnych wykrzykiwań i bicia pięścią w stół. Czy nie znajdujecie bardzo potrzebnem, w przewidywaniu posiedzeń burzliwych, zapraszać od czasu do czasu jakiego urwipołcia, krupiarkę z hali lub starego woźnicę, aby wychowańcy włożyli się pod ich opieką w przepisy słownika używanego zwykle przy podobnych zamieszaniach? W końcu sala szermierki odkryłaby im tajemnice pojedynków specyalnych dla galeryi: zadraśnięć w dłoń, wyrabiania kul z papki i wyrzucanych w odległości czterdziestu kroków podczas mgły, instytucyi sędziów honorowych itd.

Myśli rojami szumią. Wszystko to należy zbadać, zgłębić. Co jest koniecznem, to otwarcie nowej Szkoły nauk politycznych. Jest rzeczą oczywistą, że nauki wykładane w Szkole dotychczasowej nie odpowiadają ani naszym przyzwyczajeniom, ani potrzebom i że laureaci najwspanialsi okażą się ofiarami przestarzałego programu, gdy losy rzucą ich na arenę życia publicznego i walk parlamentarnych. Tu grozi niebezpieczeństwo. Wznoszę krzyk alarmu.

Tłom. *W. Bugiel.*

i to tem słabsze, im owe objawy stają się bardziej ogólnymi i oderwanymi.

Gdyby więc wszystkie nasze uczucia powstawały jedną tylko drogą — drogą wrażeń zmysłowych, byłyby one w doskonałej harmonii z rozumem. Wtedy i pytanie: jak pogodzić rozum z uczuciem — nie miałoby miejsca, gdyż zaspokajając rozum, zaspokajalibysmy jednocześnie i uczucie. Na nieszczęście, większa część naszych uczuć i to najsilniejszych i najtrwalszych, bezpośrednio wiążących się z koniecznymi warunkami życia tak jednostki, jak i rodzaju, inne mają pochodzenie i nie zawsze zgadzają się z uczuciami zmysłowemi. Są to wzruszenia i namiętności, których podstawę stanowią potrzeby cielesnego organizmu, oraz instynktowe skłonności i popędy.

Zarody tych potrzeb i instynktów przynosi człowiek z sobą na świat, jako pewne właściwości organizmu, a szczególniej układu nerwowego. Właściwości te, będące wypadkową wiekowych doświadczeń rasy, stanowią podstawę indywidualności osobnika i zmuszają go do oddziaływania na zewnętrzne okoliczności w sposób, od jego woli niezależny. Takim właśnie sposobem oddziaływania są nasze wzruszenia i namiętności, które w każdym osobniku różnie się objawiają, ale w każdym z nich są stałe i niezmienne. Wzruszenia i namiętności pośrednio tylko zależą od zmysłowych wrażeń i postrzeżeń — o tyle mianowicie, o ile te ostatnie zdolne są rozbudzić w naszym umyśle wyobrażenia, z któremi te wzruszenia i namiętności są skojarzone i od których zależą bezpośrednio. Stanowią one w ten sposób układ uczuć do pewnego stopnia samodzielny tak pod względem psychologicznym, jako też fizyologicznym. Będąc uczuciami złożonemi, składającemi się przeważnie z uczuć wewnętrznych, zależą one wprost od nerwów sympatycznych, które stanowią naturalną podstawę uczuć wewnętrznych. Jakoż w stosunku tych nerwów do mózgu i w ich wzajemnem oddziaływaniu na siebie potrzeba szukać wyjaśnienia wszystkich objawów wzruszeń i namiętności.

(D. n.).

Władysław Kozłowski (Lwów).

Z ANTROPOLOGII.

Bezwarunkowo hypotezy są bardzo pożyteczną rzeczą, gdyż uogólniając mniejszą lub większą wiązankę faktów, znanych nauce w danej chwili, dają jakąś nić przewodnią w chaosie szczegółów i szczególików, z pozoru zgoła niepowiązanych z sobą. Ale, pożyteczne pod jednym względem, stanowią one zarazem nader poważną przeszkodę dla dalszego rozwoju nauki. Nakładają na oczy badacza pewne uprzedzenie, z pod którego nie tak łatwo wyzwolić się w następnych poszukiwaniach. Najwidoczniejsze dowody, przeczące założeniom danej teoryi, bywają naówczas zapoznawane, wszystko zaś, co nie pasuje do kramiku z góry powziętych poglądów, zostaje nieuwzględnione.

Tych parę ogólnych uwag nasunęła nam niewielka praca Grant Allena, a raczej wstęp do obszerniejszej rozprawy, poświęcona rozbiorowi kultu drzew w związku z czcią, składaną zmarłym *). Mianowicie teorya, kiedyś postawiona przez Tylora w sposób ostrożny i nader powściągliwy, doprowadzona do krańcowej ostateczności przez Herberta Spencera i wreszcie do absurdu w opracowaniu Lipperta, a głosząca, że wszelkiego rodzaju kult wyrósł z czci przodków, stanowi myśl zasadniczą tej rozprawki. Dla Allena świątynia z biegiem czasu wyłoniła się z podziemnego przytułku zmarłych, wszelkie święte głazy są dalszem ogniwem grobowca, wreszcie wszystkie święte drzewa zawdzięczają swój charakter temu samemu pochodzeniu. Rozumie się, ani chwili nie myślimy zaprzeczać olbrzymim wpływom kultu przodków, ale stanowczo jesteśmy przeciwni podnoszeniu jednego z czynników rozwoju do miary jedynego. Jeszcze inna okoliczność każe nam stanąć przeciw teoryi sobowtórów w nauce o początku mitologii, mianowicie wywołana przez nią jałowość. Biorąc do ręki pracę któregokolwiek z przedstawicieli tego kierunku, z góry możemy przepowiedzieć jej treść. Niemal każdy szczegół powtarza się tam w sposób stereotypowy. I gdyby rozprawka Grant Allena była taką samą, pominęlibyśmy ją milczeniem. Ale trzeba przyznać, że korzystnie wyróżnia się ona paru rysami, bo jakkolwiek nie rozszerza naszego pojmowania, przecież usiłuje dać wyjaśnienie kilku szczegółów, nowe i oryginalne.

Przyjrzyjmy się przedewszystkiem pewnego rodzaju faktom, mianowicie ceremoniom, jakie odbywają się podczas dojrzewania zboża.

„U kandów (w Indyach przedgangesowych) — opowiada W. Hunter — istnieją rożne bogi: ogólno-narodowe, plemienne, rodzinne, oraz wielkie mnóstwo złych duchów, z których każdy musi być zjednany ofiarą z krwi. Ale największem ich bóstwem jest bogini-ziemia, przedstawiająca rozpłodcze siły przyrody. Dwa razy do roku, podczas siejby i w przededniu żniw, oraz w wypadku wszelkiej klęski, domaga się ona ofiary ludzkiej. Starodawny zwyczaj nakazuje, że osoba, której życie złożone będzie w ofierze, winna być kupioną. Przedstawiciele niższej rasy, znajdujący się w wioskach, porywają jeńców z równin. Każda osada uważała za swoją powinność posiadać pod ręką niewielki zapas ofiar, ażeby módz uczynić zadość nadzwyczajnemu zapotrzebowaniu. Ofiara, kiedy przybędzie do wsi, jest prowadzoną od domu do domu; pozdrawiają ją na każdym progu, karmią obficie i wogóle obchodzą się z nią bardzo grzecznie aż do tej pory, kiedy nadejdzie dzień fatalny. Wtedy zostaje poświęconą Ziemi, a kandowie kładą do ucha umierającego: kupiliśmy cię za pieniądze, grzech na nas żaden nie spada! Mięso wraz z krwią bywa podzielone pomiędzy grunty wioskowe i każda cząstka zostaje uroczyście pogrzebaną w każdem polu w nowo zoranej skibie.“ Do powyższego obrazu nie zawadzi dodać pewne szczegóły, jaskrawiej jeszcze uwydatniające charakter owej ceremonii. „Mięso, wyrznięte z ofiary, natychmiast zostaje poniesione do domu przez osoby, specyalnie wydelegowane w tym celu przez każdą z wiosek. Ażeby umożliwić szybkie przeniesienie, stawiają odpowiednie czaty i mięso przebywa ze znaczną prędkością przestrzeń 50—60 mil. Wszyscy, którzy pozostali w wiosce, zachowują ścisły post aż do chwili przybycia transportu. Poseł składa mięso na forum wioskowem, w którem przyjmuje go kapłan wraz z ojcami rodzin. Dzieli on je na dwie części, jedna zostaje ofiarowana ziemi i pogrzebana — kapłan obraca się tyłem i nie spogląda na chowany kawałek, każdy z obecnych mężczyzn rzuca grudkę ziemi, duchowny zaś leje wodę. Druga część zostaje rozdrobnioną na tyle kawałków, ilu jest ojców rodzin. Każdy ojciec zawija otrzymany kawałek w liście i grzebie go w najlepszem polu, również tyłem obrócony.“ Wszystko, co pozostanie z ofiary, a zatem głowa, kości itd. bywa spalone, popioły zaś rozsypane po polach, rzucono do domów i śpichlerzy, zmieszane z ziarnem noworocznem dla ochrony od zepsucia. Kandowie, zapytani o pobudki ceremonii, odpowiadają, że tego rodzaju praktyki wzmacniają wydajność gleby i sprowadzają obfitsze plony.

Takie obrzędy istnieją w najrozmaitszych zakątkach globu ziemskiego, a chociaż pomiędzy sobą różnią się w drobiazgach, przecież duch wszędzie pozostaje ten sam. Tak np. w Afryce wschodniej istnieje zwyczaj składania Ziemi w ofierze mężczyzny i kobiety. Dzieje się to w marcu. Przeznaczone na śmierć osoby zostają zamordowane łopatami i narzędziami, służącemi tam do uprawy ziemi, później zaś pogrzebane w pośrodku pola. W Gwinei dziewczę bywa żywcem grzebane celem sprowadzenia obfitych plonów, obok niej zabijają na ofiarę parę kóz i owiec. Taki sam obrzęd istnieje na południu lądu afrykańskiego, u jednego z plemion czuańskich. Na ofiarę wybrany bywa krępy, przysadzisty mężczyzna. Łapią go siłą i prowadzą na pole, zasiane pszenicą, krew jego uchodzi za „nasienie.“ Kiedy krew skrzepnie na słońcu, zostaje wtedy spaloną wraz z kością czołową i mózgiem, popiół rozsypany wzdłuż pól, mięso zjedzone. U dawnych meksykanów istniała pokrewnego rodzaju ceremonia: podczas siejby mordowano młodzieńca, w przededniu zaś żniw starca — pomiędzy żarnami.

Wzięliśmy przykłady namacalniejsze. Poprzestaniemy na nich, czyniąc mimochodem uwagę, że Grant Allen wskazuje przeżytki tego samego przesądu w świecie klasycznym oraz w zabobonach dzisiejszej Europy. Usiłuje on odkryć rodowód tej uroczystości, mającej krwią ludzką sprowadzić dobre urodzaje. Wywody jego z tego względu zasługują na uwagę, że starają się wykazać, iż nawet rolnictwo zrodziło się z kultu przodków. Mniema on, na co zresztą przytacza fakty, że wogóle umysł pierwotny przypisuje duchom moc zsyłania obfitych plonów. Źródło tego wierzenia ma być następujące. Grunt, położony w pobliżu grobowca, zdaniem Grant Allena odznacza się zawsze wyjątkową urodzajnością. Na to składa się mnóstwo czynników. Przedewszystkiem ziemia w tych miejscach jest starannie przetrząśniętą i skopaną, nadto sam grobowiec powstaje ze zgarnięcia dokoła wierzchniej warstwy, zwykle najbardziej obfitującej w resztki organiczne. Mogiły takie istnieją już w myśliwskim okresie dziejów ludzkich, kiedy żadna inna cząstka powierzchni nie bywa opracowaną w taki sposób. Odznaczają się one zatem mocną zielonością, rzucającą się w oczy i przypisywaną przez umysł pierwotny wpływom zmarłego. Powtóre, samo ciało, rozkładając się, niemało przyczynia się do podniesienia w tem miejscu żyzności gleby, tembardziej, iż zwłaszcza wodzowie rzadko są chowani pojedynczo, lecz zwykle towarzyszą im żony, jeńcy lub niewolnicy. Krew ofiar wsiąka w ziemię, następnie od czasu do czasu są tam składane ofiary z owoców, mleka, tłuszczów. Wszystko to gnije, rozkłada się i służy jako mierzwa, wywołując bogatą roślinność. Ale człowiek pierwotny nie zna właściwości nawozu, ani praw wzrostu rośliny. W jego oczach ta okoliczność, że trawa na grobowcu jest bardziej zieloną, chwasty zaś rozrastają się bujniej, jest bezpośrednim wynikiem nadprzyrodzonej potęgi ducha, który tam zamieszkuje. Pomiędzy przedmiotami, składanymi na grobowcu w ofierze, znajdować się mogły owoce i nasiona, które, rzucone na tak podatną glebę, wydawały bogaty plon. Ta okoliczność musiała naprowadzić dalekiego naszego przodka na myśl o systematycznej uprawie roli. Człowiek pierwotny — powiada autor — nie troszczył się o swoją przyszłość i niewątpliwie nie zadawałby sobie pracy przechowywania ziarna z roku na rok; raczej niszczył i marnotrawił zbiory w krótkim czasie. Musiały przeto istnieć samorodne warunki, które by udzieliły mu odpowiedniej wskazówki,

*) Caius Valerius Catullus: *The Attis*, translated into english Verse with dissertation on the origin of tree worship. London.

mianowicie że możliwem jest zbieranie obfitszego plonu, jeżeli celowo posadzimy roślinę lub rzucimy do gleby nasienie.“ Słowem, Grant Allen jest tego zdania, iż rolnictwo powstało dokoła grobowca. Później zerwało z nim związek i oddzieliło się od niego w przestrzeni. Lecz człowiek pierwotny uchwycił zależność pomiędzy obfitością zbiorów a grobowcem. Wywnioskował on na tej zasadzie, że, jeżeli chcemy, aby urodzaj z pól był wielki, trzeba pole umierzwić ofiarą ludzką, dać mu opiekuńczego ducha w duchu tam pogrzebanej osoby. Ceremonie, jakie wskazaliśmy u kandów i w różnych okolicach lądu afrykańskiego, pochodzą właśnie z tej wiary. Że zaś rolnictwo mogło powstać z ofiar, składanych na grobowcu, na poparcie tego autor przytacza fakty, spostrzeżone przez Fisona na archipelagu fidżyjskim. Kiedy yam dojrzewa, pierwsze płody bywają zaniesione przodkom do świętej zagrody Nanga; dopóki ceremonia ta nie została dokonaną, nikt nie ma prawa skosztować owej rośliny. Złożone w ofierze płody zostają zrzucone na ziemię, gdzie niebawem gniją, niewolno bowiem brać ich stamtąd. Otóż wśród chwastów, rozrastających się w tem miejscu, można dostrzedz mnóstwo yamów, które swoją obecność tam zawdzięczają złożonym ofiarom.

Próba wytłomaczenia ofiar ludzkich podczas siejby lub w przededniu żniw stanowi najważniejszą część wywodów Grant Allena. Reszta jego rozprawki nie przynosi zgoła nic nowego. Może warto by było jeszcze wspomnieć o innym szczególe, znajdującym się w związku z kultem drzew. U wielu ludów np., kiedy ma być założoną nowa osada, zwyczaj wymaga, ażeby naprzód poza okopem było wsadzone święte drzewo. Rodowód tego zwyczaju, zdaniem autora, jest następujący. Istnieje zwyczaj, że garstka wychodźców, opuszczając ojczystą wioskę i ruszając w świat, zabierała z sobą nieco prochów pradziadów, w ostateczności zaś poprzestawała na kawałku głazu z ich grobowca. Jednocześnie uważała za swoją powinność, gdy te prochy grzebała w nowem miejscu, otoczyć je cieniem tego samego drzewa, które tam w ojczyźnie stało na straży mogiły pradziada. Z biegiem czasu pośrednie ogniwa, a mianowicie przenoszenie prochów, poszło w niepamięć, czyn zaś podrzędny, jakim było sadzenie drzewa, wyrósł do znaczenia najważniejszego ustępu uroczystości religijnej osadnictwa. Ażeby wychodźcom szczęściło się na nowem miejscu, za nieodzowne uważano posadzenie „świętego“ drzewa. Z tego samego powodu gdzieindziej powstały podobnie „święte“ kamienie. A istniały one nie tylko w czasach starożytnych lub u ludów pierwotniejszych, ale nawet w łonie naszej europejskiej przeszłości i przetrwały prawie do chwili nowożytnej. Do takich świętych głazów należy kamień londyński. Prawdopodobnie początek jego ginie w pomroce wieków, w owych czasach, kiedy tam wznosił się jeszcze gród rzymski i poprzedzające go horodyszcze celtyckie. W ciągu wielu stuleci uchodził on za ucieleśnienie solidarności municypalnej. Proklamacye i ogłoszenia bywały odczytywane z jego wierzchołka.

Taką jest treść wywodów Grant Allena. Nie potrzebujemy chyba nadmieniać, że teorya jego, usiłująca rolnictwo wyprowadzić z kultu przodków, jest co najmniej wielce ryzykowną. Więcej już prawdopodobnym jest rodowód krwawych ceremonij, obchodzonych w przededniu żniw dla wybłagania obfitszych plonów. Ale i tutaj istnieje mnóstwo szczegółów, naturalnie zgoła nieuwzględnionych przez badacza angielskiego, a które rzucają nader wątpliwe światło na rzetelność jego hypotezy. Ofiary na polach prawdopodobnie są w związku z ludźmi, zakopywanymi pod fundamenty domów, rzucanymi w morze podczas wyprawy rybołówczej i wogóle poświęcanymi w innych podobnego rodzaju okolicznościach. A przecież wyjaśnienie, dawane przez Allena, jest niedostateczne we wszystkich tych przypadkach!

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Olindo Guerrini. — Salvatore Farina.

Olindo Guerrini jest uznanym przywódcą *veristów* włoskich w poezyi. Sławę swą autor zdobył, właściwie mówiąc, pierwszym zbiorem pieśni p. t. „Postuma,“ które przypisywał zmarłemu poecie, Lorenzo Stuchetti. Guerrini wkłada w usta temu suchotnikowi rozdzierające krzyki rozpaczy, której towarzyszy pogarda ludzi, skutek arystokratyzmu duchowego. Tylko miłość wzbudza w nim tony miększe, często pełne pokory — jest to miłość nieszczęśliwa. Oto przykład elegii:

„Drobny kwiatku, wyrosły w cieniu — drobny, biedny kwiatku nieznany — podzielasz losy smutne mej miłości. — Ona także jest nieszczęśliwa — i, jak ty, chroni się w samotność. — Wyrosły na łonie krzaka ciernistego — zwiędniesz bez jednego uśmiechu słońca — i bez jednego uśmiechu nadziei — zgaśnie biedna moja miłość...“

Były to wszakże smutki przelotne, z których poeta prędko się wyleczył, oddając cały swój zapał na usługi nowej szkoły w sztuce, *verizmu*, a także swych ambicyj literackich. Tytuły jego zbiorów poetycznych: „Polemica,“ „Nuova Polemica“ świadczą samo o ich wojowniczym nastroju. Autor wystawia siebie jako nieubłaganego obrońcę prawdy.

„Nie oskarżajcie go, iż nie chce przykrywać brutalnej nikczemności swego czasu; on maluje to, co widzi; prawda jest jego przebaczeniem: tem gorzej dla tych, co nie stanowią dlań lepszych wzorów.“

Jest to program mniej więcej francuskiego realizmu, z tą różnicą, iż poeta występuje wciąż w roli oskarżyciela i karającego. Jego napady na zepsucie świata nie są zresztą kierowane żadną pewnością przekonań i są raczej wylewem niezaspokojonej lub zadraśniętej ambicyi, aniżeli poczucia moralnego. Jest on pełen ducha niezależności — nawet względem siebie samego — i zawadyactwa. Wszystko to musiało wytworzyć skłonność ku satyrze. Puścił ją rzeczywiście w świat pod przykryciem pseudonymu Marco Balossardi. „Giobbe“ (Hiob) skierowany jest przeciw wszystkim towarzyszom autora po piórze, prawie bez wyjątku. Litość objawia on tylko dla paru nieznaczniejszych pisarzy, reszta jest chłostana bez miłosierdzia. Poeta rzeczywiście lubuje się w tem wywyższaniu nieznacznych kosztem pozostałych. Z goryczą oskarża współczesnych o zmienność przekonań. Bogaty i cnotliwy Hiob jest uprzedzony o szeregu katastrof, które wyrzucą go na gnój tradycyjny, a przyjaciel jego Eliphas daje mu następujące rady ironiczne:

„Zmień przekonania, zmień politykę, uwierz w papieża; uderz się w piers, grzeszniku, idź do spowiedzi, przyjmij chleb i krew, a losy twe przybiorą nowy obrót.“ Jest to apostrofa na ten duch papizmu, który powoli przenika do literatury włoskiej. Hiob jest tu, rozumie się, tylko pretekstem dla wylewów autorskiego oburzenia. Skierowywa on je nietylko przeciw konserwatystom, postępowcy literatury i dziennikarstwa także zostali wychłostani: „Jesteśmy postępowcami, ale to tylko sposób mówienia, gdyż są progresiści najrozmaitszej barwy; poznasz nas jednak po tym znaku, iż jesteśmy wszyscy komandorami. Odkryliśmy, niestety, iż ten połów honorów i urzędów jest na ukończeniu, lecz nie wiemy doprawdy, przeciw komu mamy zwracać nasze gniewy i do kogo uwielbienie. Ale pomimo wszystko, w jakąkolwiek stronę wiatr zadmie, czy nas odprawią wcześnie, czy późno, my jesteśmy spokojni, gdyż byliśmy przezorni i mamy pełne kieszenie. Nie znamy jeszcze naszych następców, ale jeżeli mamy upaść — a upadek jest niechybny — postaramy się upaść na łapy.“

Jego złorzeczenia są naprzemiany klerykalne i radykalne. A gdy po literatach przychodzi kolej na filozofów, Guerrini z jednakową zapamiętałością napada na materyalistów i naspirytualistów. Wszystko to nosi charakter czysto osobistych zaczepek, które tak daleco widocznie smakują poecie, iż nie oszczędził nawet... siebie samego. A mianowicie: w tymże „Giobbe“ Balossardi zwymyślał w najokrutniejszy sposób... Stecchettiego. Zresztą przyjaciele, aby go obronić od posądzenia o błąd, twierdzą, iż uczynił to dla pewniejszego zachowania pseudonymu. Dodajmy w końcu, iż ta wojowniczość jest na posługach wielkiego talentu i niezwykłych zdolności. Ogólny wniosek, do którego Guerrini przychodzi, jest ten, iż włosi nic nie czytają, a to dla prostej przyczyny, że nie mają co czytać.

Salvatore Farina jest pisarzem najbardziej płodnym i najbardziej popularnym we Włoszech. Nietylko jako talent, ale głównie jako przedstawiciel przesądów mieszczaństwa, dobrych obyczajów i bojaźni bożej. Najlepsze jego dzieło to „Amore bendato“ *(Ślepa miłość)*.

Bohaterką tej powieści jest piękna, inteligentna i dumna Ernestyna, którą rodzice odumarli w młodości. Pobyt u stryjowstwa Rinuccinich był dla niej nadzwyczaj dotkliwym, nawet bolesnym, wychodzi więc za pierwszego gacha z brzega, aby się uwolnić z pod nienawistnej opieki. Ale wnet po ślubie Ernestyna spostrzega, iż postąpiła nader nieoględnie. Małżonek jej jest osobą nadzwyczaj pospolitą, hulaka, karciarz, z cynizmem wyznaje zrozpaczonej, iż ożenił się tylko dla interesu. Opuszcza go więc natychmiast, a on powraca do zielonego stolika i rozpusty, od których odrywa go jednak wkrótce słabość wzroku, grożąca oślepnięciem. Piękna Ernestyna chroni się ze swą boleścią w wiejskim kąciku, ale tu odkopał ją miejscowy lowelas, doktór Agenor. Jest to usłużny i wyrachowany pocieszyciel wdów, rozwódek i kobiet porzuconych. Ale w danym razie padł ofiarą przebiegłości, która przewyższa jego własną. Nasza separatka rozpędza nudy samotności nadskakiwaniem pięknego Agenora, który z tych miłosnych utarczek wychodzi z sercem zranionem, ona zaś swoje zachowuje w całości — rozumie się dla nawróconego grzesznika, gdy ten powodowany utratą wzroku wraca z pokorą pod jarzmo małżeńskie. Takich to cudów dokonywa ślepota!

Autor obdarowywa swego bohatera nader usłużną kataraktą, która zresztą po dokonaniu swego dzieła, wprowadzenia skruchy w serce Leonarda, znika. Ta nieoceniona katarakta wywiera zresztą i na serce Ernestyny swój wpływ zbawienny: jakkolwiek nawpół rozwiedziona, powraca do łoża chorego męża, a powoli i do miłości przez współczucie. Litość, to drobna furtka, prawie niestrzeżona, którędy łatwo wkraść się można do serca kobiety, gdy wielkie drzwi są tu zawsze zatrzaśnięte. Leonardo natomiast przez ból i skruchę wraca do poczucia obowiązków. Gdy nareszcie dzięki staraniom okulistów zdoby-

wa na nowo wzrok postradany, przed bohaterami otwiera się powtórny miesiąc miodowy, który, zdaniem autora, miał dopiero być rzeczywisty, gdyż oparty na szacunku. Jest to nagroda — nader dotykalna — za odrodzenie moralne.

To szczepienie cnót małżeńskich zapomocą katarakty jest pomysłem nader niefortunnym i mało przekonywującym, ale za to odkrywa przed nami naiwne, prawie kobiece zachwyty autora dla cnót ogniska domowego. Dogorywa ono i ginie, ale on stara się ożywić je zapomocą nawet takich głowni, jak kłamstwo. Kuzynka Ernestyny, Wirginia, która za czasów panieństwa tamtej nadzwyczaj jej dokuczała, ujrzawszy Agenora, powzięła względem niego zamiary matrymonialne i udając wielkie przywiązanie dla Leonarda, przesiaduje codziennie w węzgłowia chorego w godzinach wizyt doktora. Wszystkie kobiety, gdy chodzi o małżeństwo, stanowią cech zwarty: największe nieprzyjaciołki podają sobie w tym celu dłonie, któreby chętnie zresztą utkwiły nawzajem w swych czuprynach. Ernestyna z zamiłowaniem i złośliwością, która jest niczem innem, jak zemstą na doktorze, który jej uchybił śmiałemi zalotami, pomaga swej kuzynce w pięknej sprawie „zbudowania ogniska“; ładny Agenor ani się obejrzał, jak miał kark utkwiony w mocnem, dobrze zbudowanem jarzmie. Małżeństwo, którego Ernestyna jest zapamiętałą zwolenniczką, czyni tu wrażenie tego pokoju z bajki, w którym chłoszczą: każdy wychodzący zeń czyni minę zadowoloną, radosną, zachęcającą bliźnich, aby tam jak najprędzej się udali. Wogóle Farina jest nader niefortunnym obrońcą swych tez.

Charakterystyczną także jest inna powieść: „Dla sławy.“ Młody malarz — o jego niewinności możecie się łatwo domyśleć — pokochał dziewczynę, która miała kochanków, a zatem jest „nieuczciwą.“ Idyotyzm mieszczańskiej moralności wprawia wprost w osłupienie. Urodziła córeczkę i, zdawszy sobie sprawę, iż właściwie jej ojca, malarza, nie kocha, opuszcza go i szuka szczęścia gdzieindziej, co jest rzeczą bardzo naturalną — autor uważa ją, rozumie się, za „nierządnicę.“ Bądź co bądź, dla naszego bohatera jest to cios okropny, gdyż szczerze kocha swą metresę. Żeby życie nie było potargane, trzeba, aby namiętności, które nas rozdzierają w młodych latach, zatrącały tylko powierzchnię serca i przechodziły jak huragan, inne, prawdziwe, opróżniają nas z wszelkiej radości i czynią z nas świątynie, pozbawione swych bogów, gdzie nic nie żyje i żyć nie może oprócz zgryzoty i żalu. Nasz malarz przechodzi taki właśnie przełom i trzeba wielkiego mistrza, aby go odtworzyć. Otóż Farina jest słabym psychologiem i zbywa sprawę ogólnikami. Natomiast bardzo dobrze przedstawia obrazy szczęścia domowego, dziadków znajdujących rozrywkę w zabawach wnucząt na słoneczku, pary cieszące się szczęściem trochę pospolitem, ale trwałem i pożywnem, jak chleb codzienny. Zapomnieliśmy dodać, iż bohater po długich cierpieniach nareszcie się uspokoił, znalazł godną siebie, bo „niewinną“ dziewczynę i prawdopodobnie dotychczas pływa w oceanie bezbożnym szczęścia domowego. Niecnotliwą zaś modelkę autor ostatecznie nawraca, a nawet posyła na starość do klasztoru. Nie będziemy przytaczali treści innych romansów (oto tytuły nowych: „Don Chisciottino,“ „Vivere per amare,“ „Per la vita et per la morte,“ „Più forte dell'amore“), gdyż możecie ją odczytać w rubryce wypadków codziennych każdej gazety lub zauważyć na każdym kroku życia. Realizm współczesny stanowi apoteozę anegdoty. Tylko Farina lubi do wątku swych awantur wprowadzać czynniki nieprzewidziane: powroty zaginionych rodziców, kończące się przyznaniem opuszczonych dzieci lub małżeństwem, które wszystko urządza. Jego osoby są zwykle bardzo proste, o czynach nawpół nieświadomych, ale prawdziwe. Talent ten jest lekki, delikatny, prawie kobiecy, pełen smutku, wesela, rzewności i ironii. Znajomość życia doprowadziła go do pobłażliwości. We francuskiej literaturze równoznacznikiem jego jest Theuriet. Od Zoli Farina wziął tylko zamiłowanie do opisu operacyj chirurgicznych — zresztą sam jest doktorem. Psychologia, badając kiedyś wpływy zabójcze różnych rzemiosł na duszę ludzką, wyda na medycynę wyrok bezwzględny. Skazańcom pozostawione będzie do wyboru umrzeć lub studyować medycynę. Oni stanowić będą prawdopodobnie wyłączny kontyngens lekarzy.

L. W.

TEATR.

St. Żyżkowski, *Sen*, obrazek dramatyczny w 1 m akcie.

Gdyby autor był sam kompozytorem, można byłoby przypuścić, iż napisał sztukę swoją dla uczczenia bardzo ładnego, stanowiącego jakby odpowiedź na smętne warum Schumana preludyum, około którego obraca się treść jego pracy. Kompozytorem p. Żyżk. nie jest; widocznie tylko bardzo lubi serdeczne, rzewne melodye i patos deklamacyi przy jej dźwiękach, skoro dla zapoznania słuchaczy z utworem laureata brukselskiego, p. Blizińskiego, poświęcił prawdę życia, zrobił z bohaterów swoich trójcę manekinów, opowiadających na razie dużo, ładnym, barwnym — jakkolwiek trochę efektownym językiem, później sterujących zręcznie po morzu szumnych tyrad, wreszcie bawiących się snutą na poczekaniu tkanką misternych, trochę żartobliwych, trochę ironicznych, zawsze jednak w dobrym tonie utrzymanych frazesów, co wszystko razem prowadzi do trzykrotnego odegrania przez każdą z trzech osób, występujących na scenie, *Snu*, tęsknej melodyi młodego kompozytora, jednego z bohaterów.

Pierwszeństwo w reprodukowaniu tego utworu fortepianowego zostawiono, naturalnie, jedynej w sztuce kobiecie, p. Marcello, która w chwili podniesienia kurtyny gra i marzy cicho, potem gra i marzy głośno, wreszcie przerywa grę i marzenia i, obudzona ze snu, wita z przerażeniem stojącego tuż za nią Czesława, młodego kompozytora, którego słodką pieśnią upajała się właśnie.

Kocha go nad życie, ale nie nad majątek; tak jej się zdaje przynajmniej na razie. W chwili, gdy wchodził, postanowiła z nim zerwać; z głębi zbolałych jej piersi wyrywał się okrzyk: „zapomnienia, zapomnienia“!

Dotąd musieli gruchać ze sobą czule, jak para gołąbków przy dźwiękach słodkich melodyi: dziś — naraz — Sabina (p. Marcello) drżącym z bólu i cierpienia głosem oznajmia ukochanemu po długim wstępie, zwiastującym treść jej życia, że wyrzeka się go dla kogoś, co nie da jej wprawdzie szczerych, świeżych uczuć Czesława, co wybawi ją wszakże z matni kłopotów finansowych, w jakie wpadła, prowadząc przed i po śmierci męża życie nad stan. Czesław słucha bardzo cierpliwie długiego monologu o upodobaniach i nawyknieniach Sabiny, w której żyłach płynie krew błękitna, która nie wie i pojąć nie może, jak można istnieć w ubóstwie, która nie zetknęła się nigdy z ciemnym, pracującym na chleb codzienny proletaryatem i dlatego, tłumiąc płonącą w swem sercu iskrę miłości, woli oddać rękę swą obojętnemu dla siebie najzupełniej hrabiemu Erazmowi, który postanawia spłacić wszystkie jej długi i wykupić zastawione w lombardzie kosztowności, aniżeli stanąć u wrót szarego powszedniego bytu, bytu pracy, z kochankiem, którego bogactwo stanowi talent jedynie.

Pozwoliwszy z kurtuazyą średniowiecznego rycerza wygadać się cierpiącej kobiecie, Czesław sam wreszcie wybucha gradem wyrzutów. Żal serca zbuntowanego, gorycz rozczarowania, piołunowy jad zwątpień, wszystko to kaleczy duszę bohaterki, lecz nie łamie jej. Po wyjściu ukochanego, który nb. usunął się bardzo przyzwoicie, nawet bez ostatniego rozpaczliwego, jak to bywa w podobnych razach, pocałunku, Sabina otrzymuje bukiet i brylant od hrabiego Erazma. Pamięć jego sprawia jej wielką przyjemność; rozkoszuje się galanteryą narzeczonego, na jaką, według niej, nie mamona, lecz tylko krew błękitna zdobyć się umie. Usposobiona jak najprzychylniej dla przyszłego swego małżonka, rozmawia z nim uprzejmie, kokietuje go nawet. Wszystko poszłoby, jak z płatka, gdyby hrabia nie wpadł na nieszczęsny pomysł zagrania leżącego na pulpicie *Snu*, kompozycyi Czesława. Ze słodką melodyą wracają wspomnienia: bohaterka chwyta się za serce i po chwilowym namyśle oznajmia hrabiemu, iż żegna go na zawsze. Hrabia cofa się dyskretnie. Otrzymawszy po chwili lakoniczny bilecik, zrywający zawartą z nim umowę, myśli zapewne, że narzeczona jego zwaryowała, krew błękitna jednak nie pozwala mu przeprowadzić śledztwa. Nie widzimy go już na scenie, natomiast ukazuje się, wezwany uroczystem zaklęciem Czesław. Miłość, którą mu odebrano, zwracają napowrót jednocześnie z odesłanymi pod adresem hrabiego brylantami i kwiatami. Po chwilowem cierpieniu jest nader szczęśliwy. Każą mu zagrać *Sen*; gra i czując potęgę talentu swego, twierdzi, iż zapracuje na kapryśną o błękitnej krwi żonę. Ukochana przyrzeka pracować również. Zakończenie słodkie, rzewne, rozczulające i urocze, sen, prawdziwy sen! Słuchaczowi zdaje się, iż przespał wraz z autorem krótką godzinkę.

Niekiedy tytuł dziwnie ratuje sytuacyę: w danym razie na ratunek, prócz tytułu, przybyła jeszcze gra p. Marcello, która stwarza zawsze postacie, ciepłem życiem drgające, prawdziwe, charakteru pełne. Tym razem było to trudne zadanie, a jednak nie niemożliwe, jak okazało się w skutkach.

Prócz jednoaktówki Żyżkowskiego, teatr Rozmaitości wystawił jeszcze tłomaczoną z francuskiego 3-aktową komedyę Valabrègue'a „Najlepszy z mężów.“ Jest to cyniczna farsa, jedna z wielu, tak podobnych do siebie, iż treść jej zapomina się w godzinę po wysłuchaniu. Podejrzliwa teściowa, najlepszy z mężów, który przez lat 25 zdradza żonę bezkarnie, niespodziewane spotkanie się wszystkich niemal bohaterów sztuki w salonie kokoty — to temat, dokoła którego wije się nić akcyi. Trochę konceptów, garść operetkowych powikłań i cyrkowych błazeństw, owianych wyuzdanym cynizmem — oto i wszystko. Publiczność śmieje się, gdyż gra Frenkiel i Wolski, po wyjściu z teatru wszakże każdy otrząsa się z niesmakiem.

C. W.

ODCZYTY.

Piotr Chmielowski, *Literatka polska przed pół wiekiem.*
Edmund Jankowski, *Czem jest ogród dla człowieka?*
Julian Ochorowicz, *O koniu.*

To rozsnute w dwu wykładach było niejako uzupełnieniem podścieliska, które nam dał p. Pilecki, mówiąc o poetkach. Chmielowski zajrzaw-

szy do tej samej epoki, wziął tylko jedną postać literatki — Pauliny Wilkońskiej. Podczas atoli gdy pierwszy prelegent scharakteryzował twórczość postaci wybitniejszych, drugi dał nam sylwetkę autorki średniej miary, jako wyrazicielki dążności i potrzeb duchowych znacznej grupy ówczesnych kobiet względnie oświeconych, czyli, jak dziś nazywają — inteligentnych. Zasługą Chmielowskiego jest to, że z tych owoców średniej twórczości potrafił wydobyć mnóstwo rysów, odzwierciedlających przebłyski idei moralno-społecznych w danej epoce.

Prelegent przedstawił te „szare masy“ niewiast, które, ku przerażeniu ciemnego i przesądnego ogółu, zaczęły wglądać w kwestye filozoficzne i społeczne, mówić o „emancypacyi.“ Toleranci arystokratek-autorek i wyznawcy twierdzenia, że prawda i kobieta niecierpią się wzajem, jak dwie rywalki, przerazili się tej nowej dążności. Zresztą obawy te były poniekąd płonne, bo jakkolwiek dążność owa naszych kobiet-pisarek rozbudziła w znacznej mierze umysły ospałe, wskazała inne cele po za kuchnią i kądzielą, jednakże większość przewodniczek wybuchła na podobieństwo zapałek szwedzkich. Tem mniej można było się spodziewać utrwalenia ich idei w czynie śród czytelniczek. Wydawany przez Krakowową noworocznik *Pierwiosnek* (1838—1843) skupił tę gromadkę przodowniczek emancypacyjnych, ale z 53 zaledwie piąta część wytrwała przy piórze. Chmielowski upatruje tę niestałość w naturze niewieściej, od wieków przyzwyczajonej do opieki mękiej, więc i autorki, poczuwszy silną podporę, ramię męzkie, skruszyły o nie pióra. Zresztą wrogie usposobienie owych opiekunów do twórczości niewieściej było czynnikiem zniechęcającym. Odsyłano je do garnków i pończoch; bo „słaba jest głowa kobieca, jej zdolności są tylko mamidłem. Lektura jej nie potrzebna; niech chorego męża pielęgnuje, domem się zajmie.“ Jeżeli podobne zdania wygłaszał „światły“ Trentowski, to cóż inni mogli cisnąć w twarz budzącej się kobiecie?

Wilkońska na niwie literackiej wytrwała do końca swego życia; była nietylko powieściopisarką, lecz i literatką w znaczeniu dzisiejszem; zarobkowała piórem na chleb powszedni i to zapewne było główunym bodźcem do ciągłej pracy. Szła ona, jak powiada Chmielowski, z rozwojem myśli społecznej, objawy zaś wykrzywione tej ostatniej (szczególnie pod hasłem pracy organicznej), potępiała. Gromiła również groszorobów, sobkostwo, cześć bałwochwalczą dla cielca złotego. W poglądach na stanowisko i zadanie kobiety podzielała zapatrywania dawniejsze, z dodatkiem czynników ekonomicznych. Wołała o zarobek, przysposobienie kobiety do pracy pożytecznej, ażeby w swojem sieroctwie mogła dać radę.

Wogóle Chmielowski w dwu swoich odczytach dał słuchaczom ciekawą kartkę z dziejów literatury, w części przez ogół zapomnianą, w części nieznaną zupełnie. Kartkę ową wykrajał nie w promieniu światła geniuszów lub talentów, lecz tła szarego; tem więcej zatem przedmiot wymagał pracy i gruntownej jego znajomości. O Wilkońskiej mało pisano. Zasługują na uwagę: zamieszczone niegdyś w *Kłosach* dość obszerne wspomnienie przez Lewestama i w *Tygodniku ilustrowanym* przez Wincentego Korotyńskiego.

Umysł i serce p. E. Jankowskiego przerośnięte ideą szerzenia ogrodnictwa. Dlatego to tyle uczucia i szczerości w jego słowach gorących i gdyby chociaż nieznaczna drobina tego zapału utrwaliła się w duszy słuchaczów, niejeden z nich wziąłby się do szpadla i nożyc. Ogrodnictwo, gdy się go traktuje z prawdziwem zamiłowaniem, — to namiętność, zdolna do opanowania całej istoty ludzkiej. Prelegent podaje jako przykład pewnego amatora, który dostaje drżenia i gorączki, gdy nadchodzi czas oczkowania. Ale ta namiętność działa leczniczo; człowiek w zetknięciu się z przyrodą częstokroć zapomina na pewien czas o największych bólach, troskach, nerwy stargane nabierają sił i spokoju. Zdala od trawiących warunków życia, małostek i niegodziwości, idących w parze z owym rozmachem „wielkich czynów“ i „wielkich zadań“ w ogniskach zbiorowisk ludzkich, wyrwany na chwilę z tego wiru, człowiek wyraźniej wyczuwa szlachetne pierwiastki ducha, górujące nad jego cechami zniepravionemi w pokłonach złotemu cielcowi.

Tem jest dla nas ogród w dziedzinie moralnej. Należy pod tym ogrodem rozumieć całe otoczenie przyrody; ale dziś coraz mniej mamy sposobności korzystania całkowicie z tych bogactw; natura pokrajana na cząstki, poszarpana przez mrowiska pracy, rozpada się coraz bardziej na drobne szmaty, które trzeba bronić przed zupełną zagładą. Przysłowie powiada, iż Bóg stworzył wieś; ale ów dyabeł, który swą garścią obfitą rozsiał miasta po świecie, gorliwie czuwa nad ich rozrostem i usunięciem z ich obrębu wszelkich pierwiastków przyrody. To też i w Warszawie na miejscu ogrodów prywatnych coraz gęściej wyrastają kamienice kilkopiętrowe, coraz mniej mamy zieleni w murach. Kto więc tęskni za nią, kto nie przyrósł duszą i ciałem do bruku, niechaj posłucha rady p. Jankowskiego, niech, gdy sam za słaby, wyszuka kilku lub kilkunastu ochotników i zakupiwszy wspólnie kawałek ziemi za miastem, oddaje się tam w chwilach wolnych ogrodnictwu, a niewątpliwie będzie to pod względem moralnym, materyalnym i fizycznym lepszy środek, niż szukanie letnich siedzib w ciasnych i wilgotnych budynkach (służących przez zimę za chlew lub coś podobnego) z gromadą innych „letników“ za drzwiami, pod oknami i nad głową.

Ale po za stroną moralno-zdrowotną, ogród jest niezmiernie ważnym czynnikiem materyalnym, dźwignią dla ludzi wytrwałych i energicznych. Ogrodnicy francuscy na gruntach nawet dziorżawionych wyrastają na magnatów, a podczas oblężenia Paryża, napełniając własną kaletę, oddali nieocenione usługi ludności miasta.

Publiczność nagrodziła p. Jankowskiego oklaskami. My zaś życzymy mu innej nagrody: aby jego słowa gorące zrodziły w leniwych charakterach taką wegetacyę czynu, jak rośliny pod opieką dzielnego ogrodnika.

Założeniem p. J. Ochorowicza była ocena konia ze stanowiska psychologii. Scharakteryzowawszy więc wpływ kultury na cechy tego zwierzęcia, usiłował przedstawić obraz jego wrażeń zmysłowych i inteligencyi. Istotnie są niezmiernie ciekawe kojarzenie przez konia zjawisk spółczesnych i następujących po sobie, co bystrym ludziom w tym zakresie daje możność łatwej tresury. Mylne jest mniemanie powszechne, że konie cyrkowe, zanim przyszły do sztuk, wzbudzających podziw śród widzów, musiały przedtem dużo wycierpieć. Tak nie jest. Dość dla nich tylko zrozumieć żądania człowieka. Nauka atoli tego rodzaju wymaga również pewnych systemów i zdolności pedagogicznych. Gdyby człowiek nawzajem potrafił zawsze zrozumieć konia, nie cierpiałby ten ostatni tak strasznie, a Towarzystwo opieki nad zwierzętami mniej wytaczałoby spraw sądowych. W tym zakresie wskazówki prelegenta uważamy za najcenniejsze i kto wie, czy dziś zaledwie mimochodem, pobieżnie rzucone, z czasem nie będą punktem wyjścia programu nauki dla woźniców zawodowych. Szkoda tylko, że p. O. zbyt jednostronnie przedstawił owe najcenniejsze zwierzę ujarzmione, gdyż wziął tylko rasy szlachetne, pociągowe i wierzchowe. Rozumiemy, skąd to wynika: prelegent jest sam właścicielem stajni; to też opowiadał zbyt długo o przymiotach swego Dudusia i Johna, ale za to prawie nic nie powiedział o koniach dorożkarskich i wiejskich. Stąd i twierdzenie, że konie są wogóle krótkowzroczne skutkiem trzymania ich w ciemnych stajniach, może tylko się stosować do powozowych. Koń, szczególnie włościański, jest prawie ciągle na otwartem powietrzu, a gdy się znajdzie w stajni, to przewiewnej, pełnej światła, dostającego się przez liczne otwory. Bądź co bądź, ważne są wskazówki hygieniczne, a między innemi rada urządzania stajen z oknami. Co do poczucia taktu przez konia, być może, iż z czasem przy wielkiej pracy nad nim, potrafiłby rytm całkowicie pochwycić. To zaś, co widzimy w cyrkach, jest prostem złudzeniem, bo nietylko orkiestra stosuje się do ruchów konia, lecz jeszcze jest inny środek, na który p. O. nie zwrócił uwagi: zwykle jeździec wybija nieznacznie rytm spicrutą na nogach końskich i tem pobudza do miarowego stąpania.

Jeżeli był jaki weterynarz na odczycie, to go niemała trwoga musiała przejąć na myśl, że mu prelegent chleb odbierze leczeniem koni zapomocą hypnotyzmu. Przy sposobności, ale może nie na miejscu (w sali wykładów popularnych) p. O. zrobił wycieczkę w stronę tych, którzy napaściami przysparzają mu sławy *).

Zn.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Z szeregu wydawnictw Biblioteki powszechnej ukazały się następujące:

— Witosław Halek. *Wieczorne pieśni.* Przełożył z czeskiego Władysław Piast (wydanie nowe).

— Franciszek Grillparzer. *Matka rodu Dobratyńskich.* Tragedya w 5 aktach. Przekład Stanisława Starzeńskiego (wydanie drugie).

— Swift. *Podróże Gulliwera* do nieznanych krajów III podróż do Laputy, Balnibarbi, Luggnagu, Glubbdubdrib i Japonii.

— Lessing. *Natan Mędrzec.* Poemat dramatyczny w 5 aktach. Przełożył Zygmunt Bromberg.

— Aleksander hr. Fredro. *Śluby panieńskie,* czyli magnetyzm serca, komedya w 5 aktach wierszem.

— Firma fotograficzna Freelanda w Warszawie wydała „Mały podręcznik ilustrowany dla amatorów i uczących się fotografii.

— Ukazał się w druku „Atlas dróg bitych Królestwa Polskiego,“ opracowany dla cyklistów przez p. K. Krasopolskiego na podstawie atlasu top. Reimanna i innych.

— W paryzkiej Sorbonie odbył się doroczny kongres towarzystw naukowych.

— Utworzone przed pięciu laty w Londynie Towarzystwo naukowe dla zbadania etnografii cyganów, wysyła w r. b. kilku swoich członków do Rosyi dla zbierania materyałów na miejscu.

— Komitet paryzkiej *Ecole libre des sciences politiques* postanowił zaznajomić swych wychowańców z prawodawstwem ruskiem i w tym celu do odczytania kilku lekcyi zaprosił prof. Dymsze i innych.

— Kossuth sprzedał był bibliotekę (3000 tomów) Muzeum narodowemu za 16,000 złr. z warunkiem, iż stanie się ona wyłączną własnością owej instytucyi po jego śmierci.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę Towarzystwa muzyczno-dramatycznego w Siedlcach.

— Kraszewski przed śmiercią wykonał dla swego lekarza, d-ra Tymowskiego, 6 rysunków. Obecnie dr. T. przystępując do nowego, powiększonego wydania przewodnika po Rivierze, umieszcza te rysunki w reprodukcyi.

*) Chmielowski mówił na korzyść Osad rolnych w Ratuszu, Jankowski i Ochorowicz w Muzeum przemysłu i rolnictwa w szeregu wykładów popularnych, urządzanych przez komitet damski Tow. opieki nad zwierzętami.

— P. Zygmunt Przybylski w spółce z adwokatem Szydłowskim objął dyrekcyę teatru lwowskiego.

— W Paryżu odbyły się narady w sprawie zbierania materyałów do historyi języka francuskiego przez studyowanie narzeczy prowincyonalnych.

— W Marsylii przygotowywana jest do wystawienia opera chińska *Taj-Tsung*, której autorami są: d'Hervilly i Guimet, założyciel Muzeum Wschodniego w Paryżu.

— W Poznaniu wyszła książka w języku niemieckim przez O. Knopp'a, p. t. „Zbiór podań i bajek, krążących śród ludu w Poznańskiem."

POEZYE.

CMENTARZ

(*z cyklu „Miasteczko"*).

Wie dziecko, gdzie najlepiej
Bawić się w „chowanego,"
Wie panna, gdzie najwięcej
Kwiecia fijołkowego.

Wie nędzarz, gdzie najskromniej
Wiodą się ludzie pyszni
I wie człowiek strapiony,
Gdzie sercu najzaciszniej.

Ile tam ptasiej wrzawy
W każdy wiosenny ranek!
Ile ptasich pacierzy,
Kłótni i zalecanek!

Jakie cienie ruchome
A blaski migotliwe!
Jak ziemia pod stopami
Drży, niby ciało żywe!

Dobrze marzyć lub czytać,
Wszedłszy między te blaski,
Gdy ławkę zastępuje
Grobowca kamień płaski.

Elegia tu nabiera
Przedziwnej głębokości
I ognistą się staje
Gorąca pieśń miłości.

I widok stąd czarowny
Na łąki i na bory
I na rzekę, ubraną
W chmur i nieba kolory;

Na miasteczko, co w dali
Czerwienią dachów błyska
I na domki rybaków,
I na miejskie pastwiska...

Nakształt ptaka lub strzały
Leci stąd w przestrzeń oko,
Bo rzeka poszła dołem
A cmentarz siadł wysoko.

Gdy nic fali nie mąci,
Kiedy pora pogodna,
Z wysokości tej rzekę
Przeglądać można do dna.

Drżą pod wodą porostów
Szmaragdowe warkocze
I wielka, senna ryba
Srebrną łuską migocze;

Z piasku żółtego sterczą
Rdzawe ostrza i blachy,
I drobiazg rybi igra
Z tem, co siało postrachy;

Małża muszlę odmyka
Żałobną, czarno-białą —
A raki obżerają
Topielca sine ciało...

Pod młyńskiemi kołami
Woda z szumem się pieni
I krople w górę lecą
Z blaskiem drogich kamieni.

Rybak w wątłem czółenku,
Z dzieckiem, garnkiem i wędką,
Wierzchem czarnej głębiny
Prześlizguje się prędko.

Pstrzy się stado na łące
U rzecznego zakola,
Jak na suknie zielonem
Rozsypana fasola.

I głosy różne słychać:
Rżenie konia, bek kozy
I skrzyp, jaki wydają
Niesmarowane wozy.

A na cmentarzu cisza —
Umilkły ptaków stada
I tylko świerszcz na grobie
Coś szeptem opowiada.

Nie błyszczą tu marmury,
Złoto nie lśni jaskrawo,
Cmentarz ani teatrem,
Ani jest rzeźb wystawą.

W prostym na sąd rynsztunku
Idą stąd ludzie prości,
Krzyż tylko lub brzóz parę
Mając na straż swych kości.

Gdzieniegdzie świeci posąg
Z granitu lub piaskowca,
Ale ma cudzą postać
Zbłąkanego wędrowca,

I ptactwo, co obsiada
Ręce każdego krzyża,
Do niego, jak do stracha
Nigdy się nie przybliża...

Gdy kto na tym cmentarzu
Na sen wieczny się kładzie,
Zasypia tak spokojnie,
Jak ogrodnik w swym sadzie;

Albo jak mieszczuch syty,
Gdy się zdrzemnie przy stole
Wśród ulubionych sprzętów,
W rodziny miłej kole.

Nim zasnął, jeszcze uchem
Znajome głosy łowi,
Odśmiechając się w myśli
To żonie, to synkowi;

Bo wie, że go z tej drzemki,
Co wcale nie zastrasza,
Zbudzi głos: „Wstawaj, duszko,
Ksiądz przyszedł—na maryasza!.."

Wiktor Gomulicki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LIBERUM VETO.

Konsylium nad upadającą własnością ziemską. — Broszura p. Kłobukowskiego. — Odłużenie ziemi. — Jej właściciele nominalni i faktyczni. — Dwa systemy gospodarcze. — Przyszły wygląd ziemi. — Morał. — Tani kredyt. — Hasła.

Lekarze radzą i radzą a choremu coraz gorzej. Ileż my już napisaliśmy recept dla podźwignięcia „upadającej własności ziemskiej"! A ona przewraca się ciągle, może nawet już całkiem leży. Przyznasz czytelniku, że powiększać to konsultujące grono i pomnażać jego niezliczone głosy nowym, którego nikt nie usłucha i który nie wyda żadnego skutku — jest to przedewszystkiem ubliżać sobie daremną przemową do puszczy. Zastrzegam więc przeto zgóry, że nie myślę wcale „dźwigać upadającej własności ziemskiej," lecz z powodu świeżo wydanej w tym przedmiocie broszury p. A. Kłobukowskiego zwrócić uwagę na proces historyczno-ekonomiczny, który się odbywa z siłą konieczności, którego nic i nikt nie powstrzyma życzliwą radą.

P. Bloch w obszernem swem dziele („Ziemia i jej odłużenie") na podstawie szczegółowych obliczeń i dość prawdopodobnych przypuszczeń doszedł do wniosku, że pożyczki Towarzystwa kredyt. (128 milionów rs.) łącznie z długami hypotecznymi, sumami posagowemi, kaucyami itd. *przewyższają* całą wartość majątków ziemskich (folwarków). Potrącając zaś pewien procent na rzecz zobowiązań zapłaconych, ale niewykreślonych, autor sądzi, że nawet w takim razie suma zahypotekowanych długów *wyczerpuje* całkowitą wartość majątków. U nas są jeszcze naiwni ludzie, którzy święcie wierzą, iż dom p. Kamienickiego, wartujący 50,000 rs. a obciążony 70,000 rs. długów, jest własnością tegoż p. Kamienickiego, bo tak głosi tabliczka przybita nad bramą i pierwsza stronica książki hipotecznej. Ci poczciwcy również mniemają, że folwark p. Ziemnickiego, wartujący 50,000 rs. a obciążony 70,000 rs. długów, jest własnością tegoż p. Ziemnickiego, bo tak głosi książka hipoteczna. Tymczasem ów dom i folwark należą do zupełnie innych spólników-wierzycieli, o których nie wie ani tabliczka, ani stróż, ani parobcy, tylko wydział hipoteczny. Otóż, jeżeli usuniemy na bok wyjątki i weźmiemy ogół stosunków, to nam wypadnie, że ziemia (folwarczna) naszego kraju nie jest własnością tych, którzy ją nominalnie posiadają. Ci właściciele nominalni usiłują wyciągnąć z niej jak najwięcej korzyści, faktyczni zaś starają się jak najbardziej im to utrudnić, pobierając procenty od swych kapitałów. Czy skóra, ciągniona w dwie przeciwne strony, może nie pękać? Ale to inna kwestya. Badania delegacyi statystycznej Towarzystwa kred. ziems. w zakresie gubernii warszawskiej wykazały, iż odłużenie w dobrach stowarzyszonych dosięga tylko 66,5%, z czego p. Kł. wnioskuje, że podobny (a więc nie tak zły, jak w przedstawieniu p. Blocha) stosunek zachodzi w całym kraju. Zgódźmy się na to i nie podnośmy szczególnego położenia gubernii warszawskiej. Ale i w takim razie obecni posiadacze folwarków są co najwyżej ich dzierżawcami, których dochód (rzadko wynoszący 6%) jest znacznie niższy od czynszu dzierżawnego (zwykle przechodzącego 8%). Nie dotykając przyczyn, które wytworzyły taki stan rzeczy i ograniczając się tylko do ekonomicznej jego oceny, przyznać musimy jako fakt, że siła pieniężna obecnych właścicieli folwarków jest o wiele mniejszą od posiadanych przez nich obszarów, czyli że oni powinni je (według obliczeń delegacyi Towarzystwa) obciąć o 66,5%. Kto ma 100 włók, powinien mieć 33, kto ma 50, powinien mieć 16 itd. Ziemia jest to tak ważny, podstawowy warsztat pracy, że o niej każdy człowiek myślący musi wyrobić sobie dojrzałe zdanie. Żartujmy sobie z tych panów siejących pszenicę i groch, którzy nam, literatom, publicystom, filozofom, odmawiają prawa wydawania o niej sądów. To nie perkalik, postępowanie spadkowe lub suchoty, które zajmują uwagę tylko pewnych ludzi, specyalnie ukształconych. O ziemi myśleć i mówić mogą i powinni wszyscy. Z tej racyi, nie wysiawszy ani garnca zboża, pozwolę sobie zauważyć, że utrzymywany dotychczas podział systematów gospodarczych na *intenzywny* i *extenzywny* jest przynajmniej dla obecnej chwili i dla naszego kraju piramidalną niedorzecznością. Bo cóż to znaczy gospodarować intenzywnie? Znaczy to wkładać w ziemię znaczny kapitał środków i pracy, potęgujących jej płodność. A extenzywnie? Znaczy powierzyć całą gospodarkę: niebu, deszczowi, mrozom, słońcu, Bogu, patronom itd., ze słabą pomocą ludzką. Ziemie dziewicze, niewyczerpane i wyjątkowo uposażone mogą jeszcze darzyć człowieka sowicie, nie wymagając odeń trudów i zasiłków; ale stara, od tylu wieków wyjałowiona Europa na to się nie zdobędzie. Zarówno przytem liczebny wzrost zaludnienia, jak stosunki ekonomiczne wymagają podwyższenia wydajności gleby tak ciągłego i wielkiego, że spojrzawszy w przyszłość, możemy sobie wyobrazić ziemię tylko jako jeden olbrzymi ogród z możliwie intenzywną kulturą, w którym dla extenzywności poprostu nie ma miejsca. Nadto owa extenzywność nie zapewnia dochodu mogącego wyrównać najniż-

szej (u nas) stopie odsetkowej od kapitału. Jeżeli więc ktoś pożyczy sobie pewną sumę dla gospodarowania na dużej przestrzeni z pomocą słońca, deszczu, śniegu itd., nie może jej plonami pokryć procentów długu. Natomiast małe przestrzenie w wysokiej kulturze dają nieraz zdumiewające zyski. Z książek, artykułów i pogadanek ogrodniczych wiemy, że miniaturowy ogródek może swymi płodami wyżywić całą rodzinę, której nie wyżywią rozległe obszary w zaniedbaniu. W Skierniewicach— a więc nie w wyjątkowej glebie i nie wyjątkowem położeniu — kolonista niemiecki sprzedał niedawno włókę ziemi za 40,000 rs., od których miał 10%. Jaki folwark, gospodarowany „extenzywnie," może dać takie odsetki? Gdyby z tych uwag potrzeba było wyciągnąć morał, powiedzielibyśmy: większa własność ziemska upada dlatego, że nie należy do swych posiadaczów, że jest za dużą stosunkowo do ich środków i że skutkiem tego nie może wznieść się do wysokiej płodności. Własność ta nietylko upada, ale upaść musi, bo jest ekonomicznym bezsensem.

Dla uratowania jej proponowano rozmaite leki, a między nimi najważniejszy, mający usunąć wszelkie choroby — tani kredyt, którego również domaga się p. Kłobukowski. Powiada on bardzo słusznie: „Od pojawienia się przesilenia rolniczego hipoteki ziemskie nie przedstawiają bezpieczeństwa i kredyt hipoteczny ziemski nie osłabł, jak niektórzy twierdzą, ale znikł zupełnie z powierzchni naszego kraju." Ale czy on znikł dlatego jedynie, że obniżyła się moralność ziemian, że oni w chwili egzekwowania pożyczek pozostawiają z folwarku gołą ziemię i niebo, których zniszczyć lub sprzedać nie mogą, że wyuczyli się wszystkich sztuk krętactwa prawnego, że nie przedstawiają ani materyalnej, ani moralnej rękojmi zwrotu pożyczek, że stali się dewastatorami, gorszymi od tatarów? Zapewne, że to było przyczyna ważna, ale nie jedyna. Stracili oni kredyt dlatego również, że nie są przemysłowcami rolnymi, umiejącymi dopasowywać przedsiewzięcia do sił i środków, ale pyszałkowatemi dzieciakami, pragnącymi rozkraczyć się na możliwie szerokiej przestrzeni, która im ciągle z pod nóg się usuwa. Dziś żaden kapitalista nie da nawet tysiąca rubli właścicielowi kilkunasto włókowego folwarku, obciążonego tylko pożyczką Towarzystwa i gospodarowanego „extenzywnie," podczas gdy da koloniście, farmerowi, który swój kawałek ziemi doprowadza wytężoną kulturą do coraz większej płodności. Kapitał nie ufa naszym folwarkowiczom i dziedzicom rozległych dóbr, bo oni dla niego nie są ludźmi poważnej pracy i rachuby, lecz graczami, spodziewającymi się szczęśliwego ryzyka. Nikt nam logicznie nie wytłomaczy tego, ażeby posiadacz kilku szaf i półek w najętym sklepie był bardziej odpowiedzialnym, niż gospodarz na kilkunastu włókach ziemi; dla czegoż więc pierwszy ma kredyt, a drugi go nie ma? Dlatego, że pierwszy jest istotą ekonomicznie bardziej dojrzałą. Kapitalista z pewnem prawdopodobieństwem może obliczyć zasoby, inteligencyę i powodzenie kupca, t. z. szlachcic (naturalnie mówimy ciągle o przeciętnym, wieczystym dłużniku wszystkich, co mają pieniądze) jest dla niego zupełnie nieobliczonym *). Ziemia stanowi możliwie najlepsze i najbezpieczniejsze oparcie dla pożyczek, jeżeli więc ona straciła wszelki kredyt, to znaczy, że władający nią ludzie nieudolnością podorwali nawet tak twardą opokę. Dopóki więc oni się nie zmienią umysłowo, moralnie i fachowo, dopóty nie przyjdzie ów tak oczekiwany i upragniony tani kredyt. Zjawi się on natychmiast, gdy zobaczy na roli przemysłowców, którzy zastosowali warsztat swej pracy do swych sił i środków i używają go umiejętnie.

*) Jak głęboko zakorzeniła się wiara w jego niedołęztwo, widzimy także z broszury p. Kłobukowskiego, który między innemi radzi, ażeby zachwiany posiadacz folwarku „wyspowiadał się" i złożył „rzetelny rachunek sumienia w gronie przyjaciół i sąsiadów," którzy powiedzą mu, co powinien uczynić.

I p. Kłob. uwydatnił potrzebę „likwidacyi" a my na nią kładziemy główny nacisk. „Likwidacya — pisze autor — jest wskazana wszędzie tam, gdzie dochód czysty, z majątku osiągany, z tej lub innej przyczyny podnieść się niedający, nie wystarcza, albo zaledwie wystarcza na opłatę procentów od długów na majątku ciążących i lada chwila wymagalnych i gdzie nie ma środka ani ich spłaty lub upłaty innymi funduszami, jak np. sprzedaż lasu itp., ani zmoderowania (obniżenia) stopy procentowej."

A zatem: 1) precz z gospodarstwem extenzywnem, precz z kulturą zapomocą powietrza, słońca i deszczów, precz z jałowem polem, które powinien zastąpić dobrze uprawny ogród i 2) precz z rozległemi przestrzeniami, kupowanemi za cudze pieniądze i nieopłacającemi procentów pożyczkowych. Rozumną likwidacyą każdy powinien wydzielić sobie taki warsztat pracy, na jaki mu sił starczy.

Co to? My wydajemy hasła ziemianom? Nie, wskazujemy tylko warunki, w których własność ziemska przestałaby upadać, jęczyć, płakać, żalić się Bogu i ludziom, wymagać szczególnej opieki i rozmyślać nad sposobami zdobycia pieniędzy i uniknięcia subhastacyi.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Łódź. Wznowiono niedawno myśl wystawy rzemieślniczej, która jeszcze w roku zeszłym miała przyjść do skutku, ale brak zgody stanął na przeszkodzie. Majstrowie cechowi, uważający się za doskonałych, nie chcieli widzieć obok siebie „konsensowych." Obecnie podobno przyszło już do porozumienia, więc zapewne wystawa urzeczywistni się. — Ruch budowlany w mieście zapowiada się w wielkich rozmiarach i prawdopodobnie w ciągu sezonu dosięgnie paruset domów. Przedsiębiorcy narzekają na brak robotnika; ten wszakże ich kłopot jest objawem pomyślnym, gdyż chwila obecna daje zatrudnienie znacznej rzeszy ludności w fabrykach. Aferzyści budowlani radzą sobie sprowadzaniem robotników z dalszych okolic, nawet z gub. siedleckiej i lubelskiej. Rozumie się, robią na tem niezłe interesy agenci-pośrednicy. — Powstało tu laboratoryum chemiczne, uwzględniające najnowsze wyniki wiedzy (przynajmniej tak głosi). Instytucya taka oddawna była pożądaną w mieście, posiadającem różnorodne rozgałęzione działy przemysłu.

Piotrków. P. Antoni Pilecki wygłosił tu z wielkiem powodzeniem te same co w Warszawie odczyty o kobietach-poetkach, również na ten sam cel — osady rolne. — Poruszono myśl urządzenia w Piotrkowie, podczas wyborów — wystawy inwentarza. „Ułatwiłoby to — pisze jeden z wyborców w miejscowym organie— nietylko możność nabycia, lecz i wykazałoby, że są jeszcze ludzie, myślący o podniesieniu upadającego gospodarstwa, a nie o dewastacyach." Takie wystawy oddawna stale są urządzane w Kaliszu, a za tym przykładem w r. b. ma pójść także Płock. Przy sposobności inicyator tego projektu przypomina jeszcze wniosek inny, bardzo racyonalny: aby zaniechać raz na zawsze zwyczaju przyjęć, urządzanych przez prezesa dla wyborców, „gdyż jest to rzecz kosztowna i przez to nie każdy chętnie przyjmuje na parę godzin ten tytuł. Niech raczej prezes łącznie z wyborcami przyczyni się datkiem na wpisy dla niezamożnych uczniów, aby wytworzyć społeczeństwu ludzi rozumnych i rozsądnych."

Mińsk. Według danych, ogłoszonych przez miejscowy komitet statystyczny, największe obszary ziemi w gub. mińskiej posiadają następujący właściciele: ks. Antoni Radziwiłł, ordynator nieświezki, 160,402 dziesięcin, hr. Konstanty Potocki 120,943 dzies., hr. August Potocki 111,322 (łącznie z częścią hr. Eustachego P.), spadkobiercy hr. Józefa Tyszkiewicza 95,000 dzies., Pusłowscy 90,953 dzies., Horwatowie 50,100 dzies., hr. Kutuzów 41,398 dzies. — Wytwórcy okowity w całej gubernii od pewnego czasu uskarżają się na wielką trudność zbytu, skutkiem czego pod naciskiem współzawodnictwa muszą zniżać ceny. Przeciętna produkcya roczna gubernii wynosi 80 milionów rubli, z tego połowa idzie na spożycie miejscowe. Pomimo zmniejszenia się rynków zbytu, powstają ciągle nowe gorzelnie. Najważniejsze rynki wewnętrzne, petersburski i moskiewski, prawie całkowicie podbili wytwórcy gubernij nadbałtyckich. — Mieszkańcy miasta wielce są zajęci projektem urządzenia wodociągów. W tym celu jeździł do Warszawy miejscowy wice-prezydent, p. Pruszyński dla zwiedzenia urządzeń wodociągowych.

Moskwa. Fabrykanci miejscowi wnoszą do ministeryum podanie o zniżenie taryf przewozowych na wschód dla wyrobów fabrycznych okręgu moskiewskiego. Nadto postanowili oni stworzyć komiwojażerstwo skutkiem współzawodnictwa fabryk łódzkich. — D. 23 marca odbyło się tu pod przewodnictwem p. Morozowa posiedzenie niżegorodzkiego komitetu jarmarcznego dla uchwalenia pewnych postanowień w sprawie kolei i oświetlenia elektrycznego podczas wystawy 1896 r. Pierwotnie istniał projekt udzielenia koncesyi pod tym warunkiem, że po upływie terminu oznaczonego kolej i oświetlenie będą eksploatowane przez miasto. Obecnie to ostatnie postanowiło wziąć przedsiębiorstwo we własne ręce. Zgromadzenie upoważniło przewodniczącego, aby działał niezależnie od miasta.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRAWO PROPINACYI.

I.

Rosya wchodzi na nową drogę w uorganizowaniu wyszynku wódki. Będzie zaprowadzona, sposobem próby, państwowa sprzedaż tego produktu w guberniach: permskiej, ufimskiej, orenburskiej i samarskiej. W razie pomyślnych rezultatów, ma ona być systemem stałym, zastosowanym do całkowitego handlu spirytusowego w Rosyi. Powyższe cztery gubernie podlegają temu prawu już od roku przyszłego, r. 1896 monopol ten ogarnie kraj południowo-zachodni, a od r. 1897 stanie się powszechnie obowiązującem prawem. Wieść ta obudziła silne wrażenie śród ogółu i nie dziwnego, bo dotyczy zupełnej przemiany systemu wielkiej gałęzi handlu. Sprawa ta zatem, niezmiernie doniosła, zasługuje na obszerne i wyczerpujące traktowanie. Według zapewnień *Wiestnika finansów*, na początek monopol dotknie tylko wódkę; o piwie, winie i innych trunkach nie ma jeszcze dotąd mowy. Pobudką do tak ważnego kroku jest podobno chęć ukrócenia pijaństwa bez zniżania dochodów skarbowych z akcyzy. Chcąc to urzeczywistnić, należy usunąć dzisiejszych szynkarzy, demoralizujących ludność, dających wódkę na kredyt lub na zastaw różnych przedmiotów; nadto trzeba wycofać z handlu gatunki liche, nieoczyszczone, pełne olejków lotnych i fuzlowych, wielce szkodliwych dla zdrowia, wywołujących pijaństwo nałogowo chorobliwe.

Urzędnicy, wysłani przez ministeryum skarbu do gubernij wschodnich, badali na miejscu produkcyę i handel tudzież zapoznali się z warunkami najmu stosownych

lokalów i ludzi, którym bez obawy o nadużycia można powierzyć sprzedaż. Przekonano się, iż gorzelnie miejscowe i zakłady rektyfikacyjne dostarczają spirytusu oczyszczonego zaledwie 10% ilości spożywanej. Na podstawie zgromadzonego dotychczas materyału opracowano zarysy nowych przepisów; zanim atoli przystąpimy do nich, należy się rozejrzeć w dziejach propinacyi u nas, tem bardziej, że ściśle się ona łączy ze zjawiskami obecnie wywołanemi. Materyału historycznego dostarczy nam obszerna, wyczerpująca praca p. M. Radeckiego, p. t. „Prawo propinacyjne," drukowana w *Słowie*.

Już w r. 1221 istniały w kraju słodownie i browary. W wieku zaś XIV znano piwa z pszenicy i jęczmienia, piwo właściwe (*cerevisia*), piwa zwane *langwelle*, *schayta*, marcowe *gutes Bier*. Później zaczęły wpływać piwa zagraniczne: świdnickie, głogowskie, berneńskie, wrocławskie, gdańskie (1564), angielskie (1668), wreszcie z końcem ubiegłego wieku — piwo „butelkowe" i „ordynaryjne." Miodosytnictwo słynęło szeroko i bardziej, niż dziś, było urozmaicone. Wódka zaś dopiero w wieku XVI była „wypalaną w mieścicch, miasteczkach, jako też na wsiach"; w wieku XV była tylko lekarstwem aptecznem. Dopiero później rozpowszechniło się użycie „prostej," „przepalanej," „alembikowej," „gdańskiej" itd. Wino w XV stuleciu sprowadzano ze wszystkich krajów Europy i przy pomocy fachowców obcych próbowano nawet hodowli winnic w kraju. Według obliczeń Pawińskiego, r. 1578 „czopowe" (akcyza dzisiejsza) przyniosło skarbowi 180,000 złp., r. 1580—199,020 złp., a w r. 1581—211,984 złp. Zważmy, że podatek ten nie był wysoki, sumy więc powyższe świadczą o szerokiej produkcyi i wielkiem spożywaniu.

Przed w. XIII karczma należała bezwzględnie do własności dóbr nieruchomych. Obdarowani wyzyskiwali dochody z tego źródła na rzecz własną; karczmy te wszakże były nieliczne i istniały tylko w miejscach targowych. Panujący w charakterze właściciela całej ziemi, którą rozdarowywał wedle uznania, sam się zajmował wyrobem piwa i miodu dla karczem. Służba zaś wyłączna (*braxatores*) była zatrudniona w tym dziale, nadto materyałów i pracy dostarczała ludność podwładna. Od w. XIV zmienił się porządek rzeczy pod wpływem wprowadzenia prawa niemieckiego do organizacyi wsi tudzież skutkiem wzrostu ludności i liczby dóbr prywatnych. Mnożące się karczmy wychodzą z rąk właściciela i stają się użytkiem gminy autonomicznej. Odtąd sołtys, stojący na czele gminy, rozporządzał karczmą i osadzał w niej szynkarza (*tubernator*). Prawo sołtysa atoli nie było zupełne; od połowy bowiem XIV w. coraz wyraźniej występują różne zastrzeżenia i ograniczenia w nadaniach; dziedzic odstępuje połowę lub trzecią część dochodu, resztę zostawia dla siebie.

Obok karczem sołtysich i plebańskich powstały jeszcze inne, na gruntach pochodzących z działów rodzinnych i z czasem tak wzrosły liczebnie, że nietylko w nich odbywały się sądy gminne, ale nawet duchowni odprawiali sądy kościelne i w zawieraniu małżeństw udział tam brali, aż nareszcie synody i biskupi zaczęli temu przeciwdziałać. Czynsz w pieniądzach lub robociznie, płacony przez karczmarza, należał do właściciela, a karczmarz, jako człowiek wolny, mógł i karczmę i grunt opuścić. Gdy dziedzic zatrzymał dla siebie prawo karczmy, nikt nie mógł innej budować. Zdarzało się wszakże, iż on dawał i sołtysom i plebanom prawo karczmy, dla siebie zaś zastrzegał trzecią. Stąd wynikały różne spory. W ciągu XIV i XV w. wogóle pierwotne wyłączne prawa karczem kościelnych i sołtysich uszczupliły się znacznie. W r. 1496 zapadła uchwała sejmowa, wywołana tem, że szlachta nie zadowolona z działów władzy publicznej (zwracania uwagi na karczmę, jako na źródło dochodów państwowych), domagała się uznania wolności w drodze ustawodawczej co do wyszynku i sprowadzania piwa z miasta bez myta. Uchwała uświęciła wolne prawo karczmy. Powoli dziedzic, oceniwszy dobry interes, zniósł karczmy sołtysie i plebańskie, usunął dzierżawców, osadzonych przez sołysów, wreszcie nakazał poddanym branie trunków wyłącznie z jego karczem. Owe prawa dziedzica do własności karczem i propinacyi wzmocniły następnie konstytucye, wprowadzające nowy, później powszechny podatek od napojów (szelężne). Jedynie uprawnionymi do propinacyi zostali: „król, duchowieństwo i szlachta."

W r. 1768 konstytucya orzekła, że „całość *dominii* i *proprietatis* stanu szlacheckiego nad dobrami ziemskiemi i ich poddanymi, podług praw statutowych, nigdy odejmowaną ani zmniejszaną być nie ma." Jednocześnie prawo to dąży do zażegnania wszelkich strat, o jakie własność prywatną mogliby przyprawić pozostali jeszcze w dobrach królewskich sołtysi z prawem karczmy. Nakazano więc odebrać im ten przywilej. Nadto dla uniknięcia skutków współzawodnictwa, konstytucya powyższa uchwaliła „ustanowienie z urzędu jednostajnej, obowiązującej wszystkich taksy trunków, aby sąsiad sąsiadowi zniżeniem wartości nie uczynił krzywdy." Ostatecznem zabezpieczeniem się było wreszcie wprowadzenie zastrzeżeń przeciwko możliwym roszczeniom do propinacyi czynszowników emfiteutycznych.

Zajrzyjmy teraz do miast. Od połowy w. XIII oparte na prawie niemieckiem, zyskały wolność przemysłu i handlu, wszelkie zaś ograniczenia lub zastrzeżenia można było wprowadzić tylko przez uchwały rad miejskich lub urządzenia cechowe. Wprawdzie ograniczono wolność szynkowania w promieniu milowym naokoło miasta, zakazano sprowadzania pewnych gatunków piwa; ale jednocześnie wolność warzenia i szynkowania napojów przysługiwała wyłącznie mieszczanom danego miasta. Bronili oni swego prawa przeciwko wszelkim uroszczeniom i występowali przeciwko szlachcie w miastach, nieuznającej żadnych ograniczeń i powołującej się na zwolnienie jej przez konstytucye od czopowego. W r. 1511 prawo uwolniło od czopowego w miastach tylko piwo, wywarzone przez szlachcica na własny użytek. Nadużycia zaś tych przepisów poskromione zostały przez inną konstytucyę z r. 1659, która skasowała wszelkie miejskie jurydyki kościelne i szlacheckie, browary zaś poddała przepisom cechowym; wreszcie prawo z r. 1683 zakazało „szynków wszelakich w klasztorach i poświętnych domach." Miasta walczyły także z podmiejskimi browarami szlachty, wolnymi od czopowego. W r. 1764 ową walkę mieszczan poparła konstytucya odpowiednimi przepisami.

Słodownicy (*braseatores*), piwowarowie (*braxatores*), do których należały t. zw. „okienniczki", kobiety szynkujące w karczmach przez okna, zostali połączeni w jeden cech karczmarzy lub piwowarów i w r. 1671 pozyskali prawo nie przyjmowania do organizacyi „tych, co się tego rzemiosła podług ordynacyi cechowych nie uczyli," z wyjątkiem „aby cech miał wzgląd na synów i córki karczmarskie i z niemi się łaskawie w przyjmowaniu do zgromadzenia obchodził." Nie przyjętym do cechu nie wolno było piwa żadnego warzyć. Tak wzmocniona organizacya prowadziła walkę zaciętą, acz z przeszkodami proceduralnemi. Dopiero ordynacya króla Augusta III z r. 1750 sankcyonowała: że prawo wyrabiania i szynkowania piwa służy tylko karczmarzom obywatelom m. Krakowa, że wszelkie browary i szynki duchownych i szlachty znoszą się i że nie wolno przywozić obcych napojów na szynk, lecz tylko na użytek własny. Kasa miejska pobierała pewne opłaty na pożytek miasta; nadto rada utrzymywała szynki, prowadzone na dochód miasta. Niezależnie od *ternariusa* (jeden grosz państwu od beczki wina, miodu i piwa na potrzeby miasta). Kraków pobierał opłaty od wina, przywożonego na skład tudzież od gorzałki, wreszcie sejm z r. 1601 pozwolił na pobieranie „wiecznemi czasy" podatku od piwa „dla poratowania sprawy miasta."

Inne warunki panowały w miastach i miasteczkach królewskich, gdzie starosta lub dzierżawca królewski, działając w interesie własnym, szkodził miastom i mieszczanom, prowadził browary i wyszynk na swój rachunek i nie krępował się przepisami. Konstytucya z r 1768 nie przywróciła tym miastom odjętej wolności propinacyjnej; przeciwnie — przyznała starostom wyłączne prawo propinacyjne, z zastrzeżeniem, aby pewną stałą kwotę składali na publiczne potrzeby miasta. W innych miastach, obdarzonych wolnością propinacyjną, lecz nadużywających jej przez rozpijanie się, a więc zaniedbywanie kupiectwa i rzemiosła, kazano komisyom *boni ordinis* zbadać rzecz na miejscu i w razie gdyby mieszczanie byli nie zdatni do wolności propinacyi, oddać ją starości, z bowiązkiem składania stałej kwoty na rzecz miasta.

Z. P.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Chmiel. Zawarty obecnie traktat handlowy z Niemcami niemały wpływ wywrze na chmielarstwo, a w związku z niem i — piwowarstwo w państwie ruskiem. Chmiel w ciągu lat wielu podlegał już taryfom różnorodnym. Jeszcze w r. 1841 produkt ten, wysyłany za granicę, opłacał cło w stosunku 5 kop. od puda, zagraniczny zaś, sprowadzany tutaj, płacił 1 rs. 45 k. W r. 1857 zniżono cło przywozowe do rs. 1 od puda, wywozowe zaś zniesiono zupełnie. W taryfie z r. 1868 podniesiono cło o 10%, do rs. 1 kop. 10. W r. 1882 podniesiono je do rs. 1 k. 20; w r. 1887 taryfa sięga już 1 rs. 45 kop. w złocie od puda. Następnie prawo z d. 12 maja 1887 r. podnosi cło o siedem razy: do 10 rs. w złocie i stawkę tę pozostawiono bez żadnej zmiany w taryfie z r. 1891. Taka znaczna zwyżka cła nie zatamowała wszakże dowozu niezbędnych przedniejszych gatunków chmielu zagranicznego. Na zasadzie obecnej umowy z Niemcami, cło przekracza o $2\frac{1}{2}$ raza najwyższą do r. 1887 normę opłaty, czyli zniżono cło z 10 rs. na 3 rs. 50 kop. w złocie od puda. Z powodu tej zniżki interesowani wyrazili obawy niepomyślnych następstw dla chmielarstwa krajowego. Otóż *Wiestnik finansów* za pomocą przekonywających faktów rozprasza te niepokoje. Pomijając cyfry, istotnie wymowne, poprzestajemy na ogólnych uwagach: „Rosya — pisze organ powyższy — która sprowadzała bardzo znaczne ilości chmielu, w ostatnich latach zaczęła odwrotnie — wywozić go za granicę i to w rozmiarach, przekraczających cyfrę dowozu, czyli że obecnie należy już do krajów, dla których kwestya opłat celnych od chmielu w państwach zagranicznych przestała być obojętną. Szczególnie w stosunku do Niemiec, głównego dostawcy chmielu do Rosyi, ta ostatnia stanęła prawie na równi pod względem wymiany tego towaru, a w roku ubiegłym miała już nawet znaczną przewyżkę. Ale oto osiągnąwszy równowagę w wymianie towaru, pozostaliśmy nadal w różniących się wybitnie warunkach wzajemnego oclenia. Gdy bowiem Niemcy pobierają od chmielu zagranicznego, według ogólnej swej taryfy, zaledwie 20 marek od kwintału, czyli 1 rs. 1 k. metal. od puda, my — po dziesięćkroć więcej. W tych warunkach do układu przyjść mogło jedynie na zasadzie wzajemnych ustępstw. Ze strony Rosyi zniżono więc taryfę do 3 rs. 50 kop.,

a ze strony Niemiec przyznano Rosyi stawkę taryfy konwencyjnej: 14 marek od kwintału, co odpowiada 71 kop. w złocie od puda, czyli że w każdym razie otrzymano znaczną (5-krotną) różnicę cła na naszą korzyść.“ Tym sposobem zapewniono krajowej produkcyi chmielu opiekę, lecz jednocześnie uwolniono od nadmiernego cła niezbędne tutaj gatunki chmielu zagranicznego.

— Podatek od mieszkań w Warszawie można już wnosić do miejscowej kasy gubernialnej (Rymarska 5). Właściwy okres poboru ustanowiono w r. b. wyjątkowo od 7 do 17 maja włącznie. Oprócz kasy gubernialnej i emerytalnej przy izbie skarbowej, podatek mogą przyjmować cztery kasy oszczędności oddziału Banku państwa: ul. Targowa na Pradze nr. 41, Chłodna 37, Nowowielka 26 i Nowy świat 17. Po 17 maja można wnosić tylko do kasy gubernialnej i już z karą za opóźnienie w stosunku 1% na miesiąc. W wielu innych miejscowościach państwa, podlegających podatkowi od mieszkań, niema odpowiednich instytucyi rządowych. Wydano więc rozporządzenie ministeryalne, aby opłata w takich miastach lub osadach wnoszona była do biur pocztowo-telegraficznych.

O PRAWDĘ.

I.

Kilka słów o „sekcyi przyrodniczej“ Towarzystwa ogrodniczego.

W nr. 12 *Prawdy* Dr. Z. Mirski, pisząc o Towarzystwie ogrodniczem, porusza między innemi i „sekcyę przyrodniczą,“ wzywając specyalistów o wyjaśnienie, co to za sekcya? Jako jeden z członków tej sekcyi i od kilku lat uczęszczający na jej posiedzenia, pozwolę sobie udzielić żądanych wyjaśnień oraz dodać kilka sprostowań, zastrzegając, że wszystko, prócz faktów w następujących kilku wierszach, jest wyrazem mojej prywatnej opinii.

Sekcya pierwsza Tow. ogrodniczego nazywa się „sekcyą teoryi ogrodnictwa i umiejętności pomocniczych.“ Sama ta nazwa usprawiedliwia zarówno jej czysto teoretyczny (tj. nie związany bezpośrednio z praktyką ogrodniczą) charakter, jak i szeroki zakres obejmowanych przez nią zagadnień, do którego wchodzą wszystkie nauki przyrodnicze, przeważnie zaś biologiczne, a nawet i kultura przedhistoryczna oraz językoznawstwo, jako zostające w związku z historyą uprawy ziemi i wytworzenia sztucznych odmian roślin ogrodowych. Nie wszystkie jednak referaty mają charakter czysto teoretyczny: częste komunikaty p. A. Ślósarskiego o rozmaitych szkodnikach roślin należą już wprost do praktyki ogrodnictwa.

Za piękny zaś przykład referatu, potrącającego o liczne gałęzie wiedzy, służyć może rozprawa „o chmielu“ p. E. Majewskiego, czytana na jednem z przeszłorocznych posiedzeń, a następnie wydana osobno. Autor jej, usiłując wykryć ojczyznę oraz odtworzyć historyę uprawy tej tak ważnej w przemyśle rośliny, zmuszony był udać się i do źródeł historycznych i do językoznawstwa, a nawet do pieśni ludowych. Zresztą znana praca Hehna (*Kulturpflanzen und Hausthiere*, 1877), dotycząca historyi roślin uprawnych i zwierząt domowych, oparta jest wyłącznie na studyach filologicznych.

Jeśli więc p. Dr. Z. Mirski, skarżąc się, że „bywają tam pogadanki... archeologiczne, więc nietylko ogółu, lecz i siebie nawzajem niczego nie uczą,“ chciał przez to powiedzieć, że nie udzielają wiadomości pożytecznych dla ogrodników i ogrodnictwa, to wykazał jedynie bardzo ciasne pojmowanie zadań uczono-praktycznych towarzystw oraz niezrozumienie ścisłego związku, łączącego pozornie niezmiernie odległe od siebie gałęzie wiedzy.

Również niesłusznym jest zarzut, jakoby sekcya nie dopuszczała publiczności. Nietylko dla wszystkish członków Towarzystwa, ale i dla gości jest otwartą, a dla wprowadzenia ostatnich wystarcza karta wizytowa któregokolwiek z członków z wypisanem nazwiskiem gościa. Nieraz też mówiono na sekcyi o tem, że uczęszczanie jej przez gości byłoby bardzo pożądanem i że chętni nie spotkają żadnych trudności co do wstępu. Zbyt specyalna treść referatów jednak zdaje się odstrasza ogół.

Trudniej jest odeprzeć zarzut, że sekcya usuwa się od kontroli szerszych kół publiczności, nie dopuszczając sprawozdań z posiedzeń swoich w pismach ogólnej treści, a tem trudniej mi to uczynić, że nie podzielam obawy tych kolegów z sekcyi, którzy sądzą, że nieumiejętne reporterstwo, przekręcając w sprawozdaniach swoich nie dobrze zrozumianą treść referatów, może zaszkodzić w opinii ogółu tak osobom, jak i całej sekcyi.

Nie zaprzeczając, że zdanie to ma pewną podstawę (dodam zresztą, że i samo usunięcie reporterstwa było wynikiem niewłaściwego zachowania się jednego z gości, który pisząc sprawozdanie o referacie do pisma codziennego, załatwił jakieś osobiste rachunki z referentem), sądzę jednak, że za przykładem innych stowarzyszeń naukowych sekcya teoretyczna mogłaby bez szkody otworzyć drzwi swoje dla reporterów, tem bardziej że tym referentom, którzy posuwają swoją drażliwość tak dalece, że nawet w *Kuryerkach* nie chcieliby wyczytać włożonych sobie do ust niedorzeczności (któż zresztą czynny na jakiemkolwiek polu publicznem może się ustrzedz od niedorzeczności i wścibstwa *Kuryerów?*) — tym, powiadam, pozostaje możność publicznego sprostowania reporterskich błędów. Zresztą można byłoby zastrzedz, ażeby pisma po sprawozdania udawały się tylko do ludzi fachowo przygotowanych, do członków samej sekcyi itd.

Gdyby zresztą p. Dr. Z. Mirski chciał rzeczywiście poznać, czem się zajmuje „sekcya przyrodnicza,“ mógłby łatwo o tem dowiedzieć się z protokułów posiedzeń, regularnie drukowanych we *Wszechświecie*, a znajomość z nimi zmusiłaby go do cofnięcia twierdzenia, jakoby członkowie sekcyi „nie dzielą się zdobyczami wiedzy, nie czynią doświadczeń i poszukiwań samodzielnych. Wiele z referatów tej sekcyi prócz tego było wydrukowanych in extenso w *Pamiętniku fizyograficznym*, *Wszechświecie*, *Kosmosie* i innych pismach naukowych.

Sąd więc szan. autora, jako wydany przed poznaniem rzeczy, jest zbyt pośpieszny. Nie dla samej „komedyi“ tracą czas członkowie sekcyi i nie sama tylko wzajemna adoracya zgromadza ich tam, również jak i nie wyłącznie w tej sekcyi krzewi się i kwitnie owa piękna roślina rodzimego gruntu.

Wł. M. Kozłowski

II.

Słówko uzupełnienia.

Bardzo wdzięczny jestem p Kozłowskiemu za wyjaśnienie, czem jest sekcya przyrodnicza i za wskazanie pism, w których można czytywać sprawozdania z jej działalności. Szkoda tylko, że *Wszechświat* i *Kosmos* są czytane przez bardzo szczupłe kółko ludzi; co zaś do *Pamiętnika fizyograficznego*, to umieszczanie tam referatów równa się zamknięciu ich w szufladach. W zarzutach swoich miałem na myśli tylko dobro instytucyi i pragnienie, ażeby ona wychylając się po za granice zbyt ścisłej specyalności, stała się pożyteczną dla większego grona inteligencyi, co przecież nie byłoby zbyt wielkiem zniżeniem się i spospolitowaniem wobec profanów. Zamknięcie wstępu przedstawicielom prasy wogóle z powodu jakiejś awantury, zrobionej przez reportera, dowodzi tylko, że pp. członkowie sekcyi zbyt słabe mają pojęcie o różnorodności pracowników w piśmiennictwie bieżącem i zbyt zajęci własną wielkością, nie przypuszczają, że są publicyści, którzy nie pisząc za każdym razem sprawozdania z lada pogadanki lub uwag, wypowiedzianych na zebraniu, chcieliby osobiście przyjrzeć się danej instytucyi, jako szczegółowi życia społecznego. W takim charakterze udałem się przed kilku tygodniami na jedno z posiedzeń z tą pewnością, że p. Ślósarski, mając czasem w ręku poważne organy naszej prasy, mógł mimochodem moje nazwisko zapamiętać i odróżnić je od tych, których się boi. Ale p. Ślósarski, może w obawie utraty swej powagi przed woźnym, rozmówił się ze mną przez tego ostatniego w taki sposób, jak gdyby bawił pierwszy dzień w Europie. Rozumie się, że wobec tego, pomimo uprzejmej propozycyi p. Majewskiego i paru członków znajomych mi osobiście, abym został w charakterze gościa, nie chciałem już przyjąć tego zaszczytu tam, gdzie sam gospodarz nie grzeszy uprzejmością. Fakt ten jasno przeczy twierdzeniu p. Kozłowskiego, jakoby sekcya była dla gości otwartą.

Dr. Z. Mirski.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Władza postanowiła rozszerzyć śród ludności wiadomość o wzbronieniu wstępu emigrantom ruskim do Brazylii.

— Poruszono sprawę ubezpieczenia robotników na statkach rzecznych.

— Warszawski cech kapeluszników, przez pewien czas zagrożony upadkiem, zaczyna się ruszać i werbować nowych członków.

— Rząd austryacki podniósł kwestyę umieszczania pijaków nałogowych w osobnych schronieniach, tudzież odbierania im praw obywateli pełnoletnich.

Sądy. Izba sądową unieważniła w znacznej części wyrok kaliskiego sądu okręgowego w sprawie upadłości domu handlowego Radoliński, Jabłkowski i Skupieński.

— Senat oddalił skargę Brzezickiej.

Szkoły. Lublinianka, panna Ludwika Goldcweig, obroniwszy rozprawę z dziedziny fizyologii, otrzymała na uniwersytecie w Bernie stopień doktora medycyny i obejmuje stanowisko asystenta na wydziale lekarskim tego uniwersytetu.

— Kandydaci postronni, chcący otrzymać świadectwo z ukończenia kursu szkół realnych, mogą w r. b. składać egzamin jedynie w Łowiczu i Kaliszu. Do szkoły warszawskiej nie mają wstępu z powodu znacznej liczby jej uczniów tudzież mającej tam pierwszeństwo w egzaminach młodzieży ze szkół Górskiego i Pankiewicza.

Zmarli. Brown-Sequard w Paryżu; znany fizyolog, który wyrobił sobie wielki rozgłos metodą leczenia organizmów wycieńczonych. Cudowne skutki miała wywierać t. zw. „Brown-Sequardina,“ emulsya, wytworzona z pewnych części organizmów zwierzęcych. Zastrzykiwana, miała przywracać siły starcom i wyniszczonym młodzieńcom.

— P. N. Jabłoczkow w Saratowie; elektrotechnik, wynalazca specyalnego systemu oświetlania elektrycznością.

— Włodzimierz Łuskina w Krakowie; artysta malarz. Kształcił się w petersburskiej Akademii sztuk pięknych. Tworzył kompozycye różnorodne, między innemi zostawił sporo płócien wartościowych, które krytyka bardzo przychylnie oceniła. Zmarł w 44 roku życia na chorobę piersiową.

— Fryderyk Wilhelm Weber, poeta niemiecki w Nieheim pod Höxta (80 lat). Najważniejsze jego dzieło *Dreizhulinden*, doczekało się w 15-tu latach 56 wydań.

— Jerzy Pouchet, profesor anatomii porównawczej w *Muséum d'histoire Naturelle* w Paryżu. Znany był jako świetny popularyzator. Całe swe życie poświęcił badaniom naukowym. Jego artykuły popularne w *Temps*, *Siècle*, *Revue rose*, czytane były chciwie. Całe swe mienie zapisał na rzecz Towarzystwa biologicznego.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Natalii R. w B. Artykułów tłomaczonych nie zamieszczamy, chyba w wypadkach szczególnej ich ważności. Książki A. A. nie znamy.

Panu St. Sk. Sprawę sądów polubownych podnosiliśmy wielokrotnie w „Prawdzie.“ Powracać do niej nie mamy obecnie powodu, a rozbierać w osobnej broszurze — czasu. Komu mamy wręczyć nadesłane materyały, gdyż osoby przez Pana wskazanej pod tym adresem odszukać nie mogliśmy?

Panu Cz. Ar. w Bol. Kiedy nie można!

Panu Sl. Grab. w Bernie. Rozprawa ta dla nas za obszerna; właściwa byłaby dla jakiegoś miesięcznika.

P. S. K. w Tarcz. Powtarzamy pytania Pańskie, może który z kompetentnych czytelników zechce nadesłać odpowiedź: które jest najlepsze pismo górnicze i czy po skończeniu szkoły w Dąbrowie można wstąpić do wyższego zakładu za granicą — z egzaminem lub bez?

Dr. Ypsylon. Zarzut Pański jest tak zabawny, jak gdyby był ze snu poczerpnięty. Bo właśnie mówiąc o lekarzach, którzy ofiarowali bezinteresownie swą pomoc, wymieniliśmy tylko jednego, który umarł, i drugiego, który się z praktyki wycofał. Gdzież tu więc „reklama"? Gdybyśmy siebie i ludzi poważnych nie obawiali się narazić na podobne przygryzki, wymienilibyśmy ich więcej. Niestety, zawiść nigdy się nie nuży i nigdy nie zasypia.

Panu P. Stale mieszka w Grodnie, a przy końcu kwietnia ma być w Warszawie.

Z. H. w Łodzi. Nie słyszeliśmy ani o tym pseudonymie, ani o tem nazwisku. Objaśnić mógłby ktoś we Lwowie.

— W d. 24 marca r. b. w lokalu Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami przy ulicy Hożej Nr. 70, w obecności pp. Protektorek rozdane zostało święcone dla 92 ubogich rodzin, wspieranych przez toż Towarzystwo.

Na zakup święconego złożono w gotowiźnie rs. 179 k. 35.

W naturze zaś ofiarowali: p. Wróbel 22 funty wędliny; p. Boje 40 funt. mąki i 4 gar. grochu; p. Kosiński 20 funt. mąki; p. Rudkowski 2 worki kaszy i 1 worek grochu; p. Kropiwnicki 5 pud. mąki; p. Granców białego chleba 22 sztuki; Gospodarska piekarnia 100 sztuk po 2 f. chleba; cukiernia Vincentego kilka babek.

Powyżej wymienionym łaskawym ofiarodawcom Towarzystwo składa serdeczne Bóg zapłać.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 1 Апрѣля 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.